

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie Rb. 2. Półrocznie Rb. 4. Rocznie Rb. 8. W Królestwie i Cesarstwie: Kwartalnie Rb. 2.25 Półrocznie Rb. 4.50 Rocznie Rb. 9. Zagranicą: Kwartalnie Rb. 3. Półrocznie Rb. 6. Rocznie Rb. 12. Miesięcznie: w Warszawie, Królestwie i Cesarstwie kop. 75, w Austrii: Kwartalnie 6 Kor. Półrocznie 12 Kor. Rocznie 24 Kor. Na przesyłkę „Alb. Szt.” dołącza się 50 hal. Numer 50 hal. Adres: „ŚWIAT” Kraków, ulica Bonerowska № 12. CENA OGŁOSZEŃ: Wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście Rb. 1, na 1-ej stronie okładki kop. 60. Na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem kop. 30. 3-cia strona okładki i stronie poza okładką kop. 25. Za tekstem na białej stronie kop. 30. Zaślubiny i zaręczyny, Nekrologi, Nadesłane kop. 75. Marginesy: na 1-ej stronie 10 rb., przy nadesłanych 8 rb., na ostatniej 7 rb., wewnątrz 6 rb. Załączniki po 10 rb. od tysiąca.

Adres Redakcji i Administracji: WARSZAWA, Zgoda № 1. Telefony: Redakcji 80-75, redaktora 68-75, Administracji 73-22. FILIE ADMINISTRACYI: Sienna № 2 tel. 114-30. ŁÓDŹ, ulica Piotrkowska № 81, *Za odnośnienie do domu doptaca się 10 kop. kwart.*

ŚWIAT

Rok VIII. № 13 z dnia 29 Marca 1913 r.

NATURALNA WODA PRZECZYSZCZAJĄCA

APENTA

działa łagodnie i pewnie.

PENSYONAT WYTWORNY

D-rowej Z. Woyciechowskiej

Nowogrodzka № 40. Tel. 186-58.

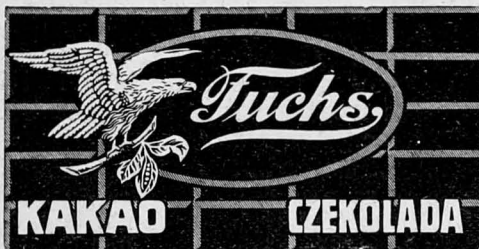
HOTEL EUROPEJSKI

W WARSZAWIE.

KAZIMIERZ OSSOWSKI Inż.

Obrońca patentowy.

Petersburg—Wozniesienskij Prosp. № 20. Berlin—Potsdamerstrasse № 5.



Biuro Komisowe 1^{go} rzędu,

zatwierdzone przez Ministerium, kaucyonowane, Waleryana Śniechórskiego, Warszawa, Królewska № 29, przeprowadza: kupno-sprzedaż majątków ziemskich, domów, willi, placów. Lokate kapitałów na hipoteki. Dzierżawy majątków. Wogóle najszersze pośrednictwo. Majątki ziemskie, domy, wille, place, są zawsze do sprzedania i sumy do ulokowania na hipoteki.

BIURO KOMISOWE **Waleryan Śniechórski,** Królewska № 29.



Hotel ROYAL w WARSZAWIE. Telefon: 5-09, 8-29. Winda. Elektryczność. Kąpiele.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Redaktor: Stefan Krzywoszewski. Warszawa, ulica Zgoda № 1, róg Chmielnej.

Redaktor odpowiedzialny na Galicję: Antoni Chołoniewski, Kraków, Bonerowska № 12.

Upraszamy o wczesne nadsyłanie przedpłaty na kwartał II-gi r. b., celem uniknięcia zwłoki w wysyłaniu pisma.

Administracja „ŚWIATA”.

Flota pięciu narodów i flota Maharadźów.

Kłęska Niemiec — bez bitwy.

Spełniać się zaczyna, co w wielkiej swej mowie w lipcu z. r. mr. Churchill, pierwszy lord admiralicy, zapowiadał. Do współzawodnictwa zbrojnego z Niemcami na wszystkich morzach staje nie już sama Wielka Brytania, ale całe imperium angielskie. A więc przedewszystkiem *The Five Nations*, pięć narodów, jak Anglicy zwykli się wyrażać, mianowicie: Zjednoczone Królestwo Anglii, Szkocji i Irlandji, Dominium kanadyjskie, Stany Zjednoczone Południowej Afryki, *Commonwealth (Respublica)* australijskie i Nowa Zelandja. Wedle wszelkich określeń teoretycznych, każdy z tych wielkich, kolonialnych obszarów — to naród, państwo osobne, z metropolią europejską bardzo luźnie związane. Faktycznie w żadnym z nich Anglia nie ma praw, ale ma obowiązki zwierzchnicze, nie ma zysków bezpośrednich, nie pobierając ani ceł, ani podatków, lecz ma znaczne wydatki wojskowe, administracyjne i reprezentacyjne. Teoretyczne veto, przysługujące królowi angielskiemu, wedle tytułu, królowi wszechbrytyjskiemu i panu zamorskich dziedzin, po dziś dzień żadnej ważniejszej i zasadniczej uchwały kolonialnych parlamentów na drodze nie stanęło i pewno nigdy nie stanie. Nawet importy angielskiego pochodzenia w tych krajach cłom podlegają; ich własne do metropolii wchodzi bez cła. Historia polityczna dwóch z tych państw angielskich za morzami — to historia przemiany opornych

na najlojalniejszych obywateli imperium. Kanada, przed pięćdziesięciu jeszcze laty złożona z mieszanin francuskich i angielskich drobnych, sprzecznych między sobą, opanowana dążnościami rozkładowymi, skłonna do zlania się ze Stanami Zjednoczonymi Północnej Ameryki, po licznych powstańczych zamieszkach, dziś, pod wpływem mądrej federacji i mądrego samorządu, stała się dumną z państwowej niezawisłości, a zarazem z przynależności do brytyjskiego imperium i ani słyszeć nie chce o awansach ekonomicznych, czynionych jej z Waszyngtonu, a na propozycje unii cłowej z Ameryką odpowiedziała porażką wyborczą długoletniego premiera liberalnego, sira Wilfreda Lauriera, poplecznika tej unii. Historia Unii Południowo-Afrykańskiej jeszcze bardziej pouczająca i świeższej pamięci. Dwanaście lat temu Anglicy i Burowie prowadzili wojnę zawziętą. Dziś — może samym burom żal, że nie mieli sposobności mniej krwawej, by zjednoczyć się z Anglią, która wrogów przedwczorajszych uczyniła panami faktycznymi całej południowej Afryki i niemniej dobrze na tem wychodzi, jak nowo utworzeni *cives britannici*. Bo południowa Afryka taksamo, jak i trzy inne wielkie zrzeszenia kolonialne, pod angielskim patronatem pozostające — trudno mówić o „panowaniu”, kiedy go niema — gotowa przyczynić się do morskiej obrony imperium przez wystawienie własnej potężnej floty. I tylko o li-

czbę i skład tych flot i o szczegóły organizacji toczą się jeszcze rokowania. Najważniejszym punktem jest pytanie, gdzie floty te służyć mają, czy na wodach własnej ojczyzny, czy — jak to uczyniła już Nowa Zelandya — wprost pod rozkazami angielskiej admiralicyi przyłączone będą, w razie potrzeby, do angielskich flot w samej Europie. Szczegół narazie drugorzędno znaczenia. Pozostawiając kanadyjską flotę na zachodnim Atlantyku, południowo-afrykańską na indyjskim Oceanie, Anglia może, naturalnie, odwołać eskadry własne, tam rozlokowane, i wzmocnić niemi swą potęgę w Europie. Prawda, że angielskie te eskadry nie dorównują nowym Dreadnought'om i Super-Dreadnought'om, lecz dadzą Anglii wprost druzgoczącą przewagę nad starszą flotą niemiecką; zanim Niemcy zdążą swoją odnowić, Anglia sama już zastąpi swoje starsze okręty nowymi. Ufa też, że w chwili wielkiego niebezpieczeństwa i kolonie, któreby narazie swe floty przeznaczały do własnej dyspozycyi, nie będą ich trzymać od parady na własnych, bezpiecznych morzach, lecz bronić się będą niemi od szkód, jakiby dla nich niechybnie wynikły, gdyby panowanie morskie wymknąć się miało z rąk angielskich.

Anglia sama, jak to już w „Świecie“ pisałem, gotowa do dalszych wysiłków, na wypadek, gdyby w roku 1914 okazało się, że Niemcy do roku 1920 naprawdę chcą wystawić 61 wielkich statków wojennych, wedle ostatniej swej ustawy o flocie. Lecz już dzisiaj, ze stanowiska, zajętego przez wielkie kolonie angielskie, wynika, iż pomimo ofiar pieniężnych, bodaj że nie nad stan swoich środków, Niemcy ostatnim swoim programem morskim stosunku sił swoich morskich do angielskich faktycznie nie poprawiły, ale raczej pogorszyły. Jest jeszcze jedna kropla goryczy w tym kielichu, chociaż w Niemczech o tem ani się nie pisze, ani głośno nie mówi. Skutek ten, napak ustawy, która Germanii na morzach dać miała podobnie groźny „pancerz luskający“ — *schimmernde Wehr* — z jakiej na lądzie się chlubi i panoszy, wynikł z grubej pomyłki w rachubach politycznych, z dawien dawna nad Sprewą przyjętych. Było prawie dogmatem w Niemczech, że gdyby kiedykolwiek Anglii poważne groziło niebezpieczeństwo, wielkie kolonie ogłoszą swą niepodległość, literalnie, wedle niemieckiego zwrotu, pozostawia Anglię „*im Wasser*“. Nie zdobędziemy tych kolonii — mówiono sobie w Niemczech — bo nas nie stać na to *jeszcze*; ale Anglia też ich nie będzie miała; no, a za lat kilkanaście lub kilkadziesiąt zobaczymy, czyje będą. Anglia, pobita na morzu, nie zdoła utrzymać Egiptu i Indyi; Japonia, jej własna sojuszniczka, zabierze wschodnio-azyatyckie posiadłości. Przy tym rozbiorze i nam się odrazu coś dostanie. Może to, może

owo, może Kongo, może portugalskie kolonie; może burowie, pamiętni sławnej depešy do Kruegera... może...

I tak szły dalej sny o potędze, która się ziści, jeśli tylko poczciwy *Michel* niemiecki sypnie jeszcze kilkakaset milionów marek do kas panny Berty Krupp, zamężnej pani Bohlen, i jeśli „niełojalne“ kolonie angielskie zachowają się tak, jak się właściwie należy *pour le roi de Prusse*. A tu, wbrew wszelkim oczekiwaniom, zawiody rachuby, na rzekomej oziębłości kolonii dla Anglii oparte! I chyba już kilka miliardów marek nie wystarczy, by jeden naród niemiecki morskimi zbrojeniami przelicytował zasobność aż Pięciu Narodów angielskich — *The Five Nations*, Trójjedynego Królestwa, Kanady, Afryki, Australii, Nowej Zelandyi. Naprawdę: *cet animal est très méchant. Quand on l'attaque, il se défend.*

I nie na tem koniec tej niesłychanej i zdrożnej złośliwości angielskiej, broniącej się przed groźbą rozgromu potęgi morskiej, która jest jedyną i prawdziwą, a więc najżywoźniejszą, wszelkich wysiłków godną podstawą mocarstwowego stanowiska, a nawet wprost bytu codziennego, bo wyżywienia Anglii. Skrewiły niemieckim nadziejom angielskie kolonie, same sobą rozporządzające; to dość przykre, bo te kolonie liczą prawie sześćdziesiąt milionów mieszkańców, niespełna tyle, co Niemcy, a do spółki mogą wystawić i trzymać flotę, co najmniej równą połowie niemieckiej. Lecz ta Anglia obłudna nie zapomniała też, że rozporządza wprost dostatkami jeszcze „małej“ garstki ludności tego świata. Bagatela: 300 z okładem milionów, zamieszkujących cesarstwo indyjskie! Bo Indye o czem niedość często się pamięta, to cesarstwo, a *Kaisar - i - Hind*, cesarz Hindostanu, to nie kto inny, tylko król Jerzy V! Otóż, co się przytrafiło? Najprzód kilku sułtanów malajskich z protektoratu angielskiego, na półwyspie malajskim, poza Indiami Wschodnimi, zrobiło składkę i — ofiarowali swemu panu zwierzchniczemu prezent, godny wschodniego przepychu, *Dreadnought* prawdziwy! Takie pogaństwo, co nie wie, że Niemcy, to prawdziwe państwo „bojaźni Bożej“! Co gorsze, ta hojność azyatycka ni stąd ni zowąd przerzuciła się do samych Indyi i teraz zaraza „wielkoangielskiego“ programu zbrojeń morskich, tak wstrętne dla angielskich radykałów i dla niemieckich hegemonów świata, czepia się maharadzów, nababów, sułtanów, gawkarów, nizamów, beguinek i innych różnych tytułów zażywających wasalów i wasalek indyjskiego cesarza. Ci panowie i panie ofiarują „tylko trzy *Super-Dreadnought'y* i dziewięć wielkich krążowników“. Prezent ten wypadnie na jakich 250 milionów rubli!

Rokowania między admiralicyą angielską a maharadzami w sprawie tego daru nie są jeszcze ukończone

i, zdaje się, idą trochę opornie. Chyba nie dla jakiejś tam niechęci samych ofiarodawców; raczej przypuścić należy, że rząd angielski daru nie odrzuci, ale też nie chce, by za dar zapłaciła sama tylko ludność — około 70 milionów, — maharadzom wprost podlegająca. To już sprawa tej wyrozumiałej i wielkiej polityki, jaką Anglia od lat kilkudziesięciu w Indjach uprawia i w której powoli, lecz stale, udział w sprawach rządzenia ustępuje samym podwładnym. Dziwna, naprawdę, ironia losów! Przytrafiło się raz, wśród panującego obecnie w Niemczech przyćmienia bezstronności w sądach historycznych i politycznych, że niemiecki podróżnik, hrabia Koenigsmarck, napisał prawdę o błogosławieństwach tej *Pax britannica*, która w Indjach panuje. Nie wszystko jeszcze jest tak, jak być powinno. Ale ustały despotyczne, często tyrańskie rządy urzędników, których dawniej „*John Company*“ — tak żartobliwie nazywano towarzystwo handlowe wschodnio-indyjskie, do którego, aż do wielkiego powstania sepoyów, Indye faktycznie należały — na wschód wysyłał, gdzie się bogacili wymuszeniami i łapówkami; niema już prokonsulów-rozbójników, jakim był Warren Hastings, lotr równie wielki, jak wielki mąż stanu; niema po dworach maharadzów takich rezydentów, którzy „odkrywali“ spiski, by upozorować aneksyę prowincyi lub bodaj naszyjnik brylantowy. Nie wyściska się podatków w koronnych prowincjach, uważa się, by maharadzowie w swoich państwach i państewkach czegoś podobnego nie czynili. Każdy gubernator ma u swego boku rodzaj parlamentu z głosem doradczym i nie ulega wątpliwości, że z czasem z tych zawiązków powstaną rzeczywiste sejmy. Jest pewne niezadowolenie i silna agitacya anty-angielska, lecz to raczej wynik niedojrzałości licznych osób, które, otrzymawszy wychowanie europejskie, czy to w samych Indjach, czy też w Anglii, oddają się mrzonce, że to całe mrowie ludów indyjskich — jest w Indjach 23 różnych języków, liczba narzeczy wynosi przeszło sto, rozczepienie ras i wyznań nadzwyczajne, a ich pomieszanie w osiedleniu nie do rozwikłania — zdolne nietylko do rządzenia sobą, lecz do zjednoczenia w jedno niezawisłe państwo, jakiego tam jeszcze nigdy nie było. Nie chcą przyznać, że w chwili opuszczenia Indyi przez Anglię znów nastaloby zamieszanie ciągłych wojen pomiędzy drobnymi państwami półwyspu, że Indye znów stałyby otworem dla najeźdźców od zachodniej granicy i że pokój nastaloby dopiero za pojawieniem się innych europejskich zdobywców, którzy pewno ze sobą przynieśliby sposób rządów, odmienny od obecnego.

Dziwne rzeczywiście, że właśnie niemieccy pisarze, wedle spostrzeżeń, na miejscu czynionych, ta-

kie korzystne o panowaniu angielskim w Indiach sądy wydają, chwając angielskie starania około materialnego dobrobytu ludności, szczególnie na polu wychowawczym i sanitarnym, kiedy francuscy z doby przedwczorajszej—między nimi Pierre Loti i książę serbski Karadzordzewicz, deklamują o „niewoli“ angielskiej. Może, wobec daru maharadzów, Anglii ofiarowanego, sąd niemiecki nagle się zmienił, jak zmieniły się „liberalne“ poglądy niemieckiej historyografii na sprawę polską. I, przyznać trzeba, nie brak sposobności do upozorowania twierdzenia, że dar maharadzów—to wcale nie jakaś dobrowolna ofiara. Pamiętny jest przecie epizod, który się rozegrał na koronacji cesarza indyjskiego w Delhi, kiedy to gakwar Barody, jeden z najpotężniejszych maharadzów, podczas hołdu wasalów zamiast złożyć potrójny ukłon homagialny i cofnąć się tyłem przez trzy stopnie tronu, lekko się skłonił, odwrócił i odszedł, wspierając się na lasce. Twierdził gakwar, że przydarzyło mu się to w zakłopotaniu, i mocno przeproszał. Sprawa narobiła dość wrzawy, i dziś zapewne w Niemczech twierdzić będą, że, jeśli gakwar należy do inicjatorów daru, to płaci poprostu ciężką grzywnę za uchybienie, na *darbarze* popełnione, i to płaci nie z własnej chęci. Bądź co bądź, kto wie, jak takie rzeczy się robi, nie wątpi, że był ktoś pomocny maharadzom, jeśli sobie przypomnieli, iż tylko Anglii zawdzięczają od trzech pokoleń niezakłócone posiadanie swych dziedzictw, pozycje, których każdy pomniejszy władca azyatycki im zazdrości, że w Anglii traktowani są nie tylko jak panujący, lecz jak dżentelmeni, i że nie byłoby dla nich korzyścią zamienić angielskiego *Kaisar - i - Hind*, dajmy na to, na japońskiego lub niemieckiego.

Dochody państwowe maharadzów nie są bardzo znaczne; zato prywatne są olbrzymie; prócz tego, wedle dawnej tradycji Wschodu, każdy z nich posiada skarby w kamieniach i kruszcu, gromadzone „na czarną godzinę“, z dziadów pradziadów. Znawcy Indyi twierdzą, że po ich skarbcach, o których tajemnie schowaniu często sami tylko najzauważniejsi coś wiedzą, znalazłyby się w bitej monecie sumy wprost bajeczne, nie mówiąc o klejnotach nadzwyczajnych. Podczas koronacji w Londynie i drugiej w Delhi widziano tych maharadzów w strojach niezwykłych, w turbanach i innych nakryciach szczególnych kształtów, a wszystko obsiane bezcennymi perłami i kamieniami. Jeden z nich ubezpieczył klejnoty, przewiezione do Londynu, na 150 milion. rub. Rząd angielski zupełnie słusznie i zgodnie ze swoją całą indyjską polityką dąży ku temu, by flota maharadzów wystawiona została kosztem prywatnym tych hołdowników, na co ich

stać, a nie kosztem poddanych, na co ich nie stać. Inaczej, rząd angielski mógłby sam, chociażby drogą pożyczki, z budżetu indyjskiego zaczerpnąć środków na budowę takiej floty.

Flota Pięciu Narodów i flota Maharadzów! Czy admirał Tirpitz, puszczając się na szerokie wody programów floty, wyobrażał sobie kiedy taką kłeskę? Nie wypowiedziała się jeszcze sama Anglia z ostatniem słowem ofiarności własnej na obronę swoich wybrzeży, a już przepowiedzieć można dzień, kiedy wszystkie morza i oceany zaroją się od okrętów, posłusznych rozkazom, wychodzących z pałacu admiralicyi w Londynie. A każdy z tych *Dreadnoughtów*: amerykańskich, afrykańskich, australijskich, indyjskich, budowany w Anglii, wzmocni zasobność Trójjedynego Królestwa, a tem samem i jego finansową odporność, podniesie granicę wysiłku na cele morskiej obrony. W chwili obecnej, kiedy od wojny na Bałkanach wyszedł, jak się zdaje, impuls potężny w kierunku nowego ukształtowania się równowagi sił w polityce świata,

warto śledzić dokładnie każdy czynnik, o tej równowadze może rozstrzygający. Flota Pięciu Narodów i Maharadzów jest takim czynnikiem. To dopełnienie tego „ultimatum“, jakie Churchill postawił. Niemcy, zdystansowane we współubieganiu się o panowanie na morzach, bodaj czy nie zwróca się frontem w inną stronę.

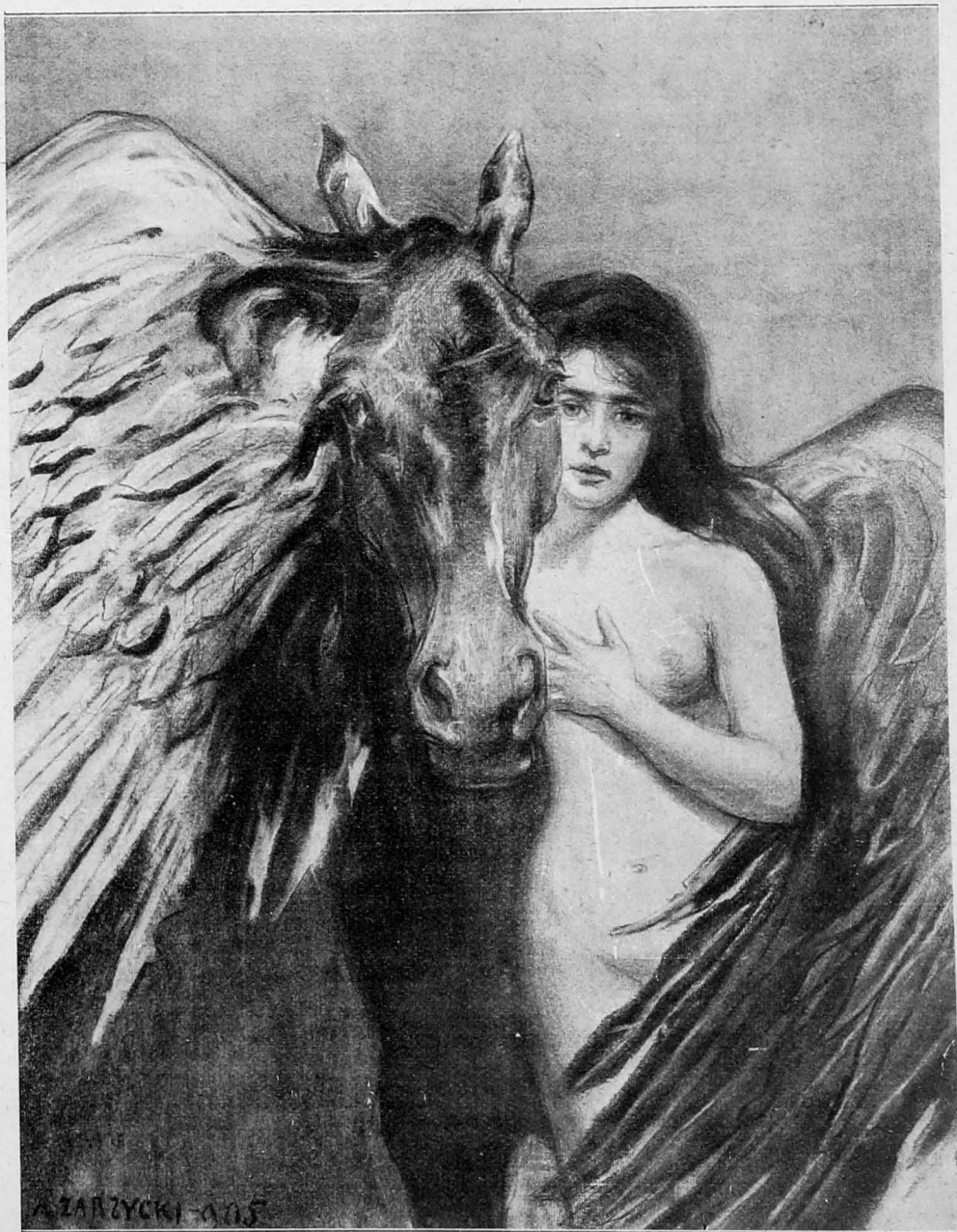
Londyn.

M. G-r.

Z pracowni Andrzeja Zarzyckiego.

A. Zarzycki należy, jeśli nie do najmłodszego, to w każdym razie do młodszego pokolenia malarzy naszych. Znajduje się dziś w tym wieku, który zwykle bywa najpłodniejszym i najobfitszym w działalności poetów, literatów i artystów.

Pierwsze kroki, jak większość naszych malarzy, stawiał w Krakowie, rzeważnie pod kierunkiem Axentowicza i Fałata. Potem skończył akademię w Monachium. Studya te traktował seryo i pilnie, przekonawszy



Andrzej Zarzycki. Pegaz.

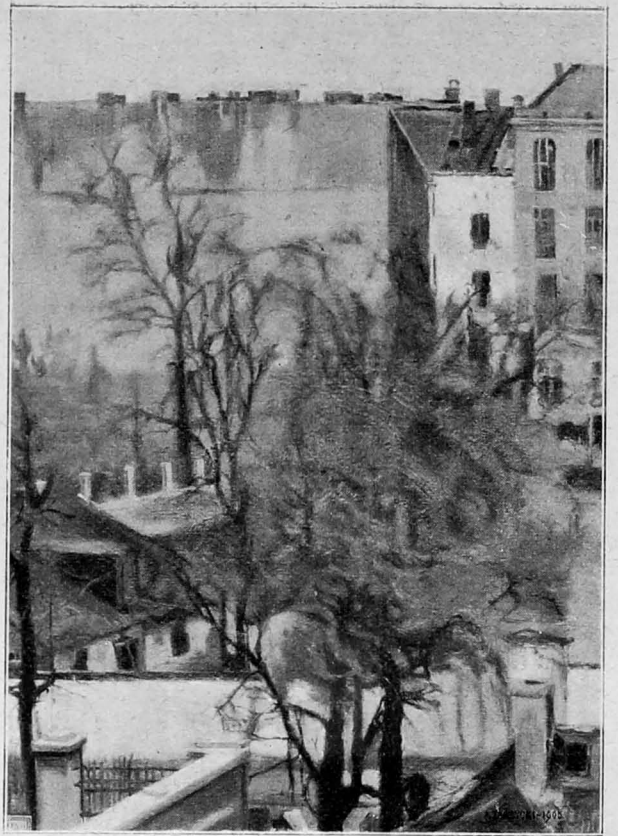


Andrzej Zarzycki. Martwa natura.

Z pracowni Andrzeja Zarzyckiego.



Andrzej Zarzycki.



Andrzej Zarzycki. Z mojego okna.

się wcześniej, że szlachetna dążność do poprawności w rysunku, do harmonii w kolorycie i jasności w kompozycji, wcale rozwojowi talentu nie przeszkadzają. Dzięki temu, Zarzycki w swej karierze artystycznej

uniknął fazy może pełnej wdzięku, ale w bardzo wyjątkowych tylko razach dla sztuki korzystnej, mianowicie: rozczochrania. Bronią go zresztą od tego dary przyrodzone, przyczem mam, oczywiście, na myśli naturę jego talentu i temperamentu artystycznego. Ujawnia się to nazewnątrż jeszcze jednym pięknym celem artystycznym więcej, mianowicie: dążnością do staranności i czystości linii. Przymiot ten występuje najwyraźniej w jego licznych ilustracjach i rysunkach, z którymi zresztą czytelnicy „Świata“ mieli sposobność niejednokrotnie się zaznajomić.

W obfitej działalności artystycznej Zarzyckiego przeważają dwa kierunki: portret i krajobraz. Niekiedy, zwłaszcza w rysunkach, porząca i o *genre*.

Powróciwszy, po ukończeniu studiów, do rodzinnego kraju, osiadł najpierw w Krakowie, gdzie namalował, z niemałym powodzeniem, szereg portretów konnych, głównie ze świata arystokratycznego. Wyróżnił się w tym kierunku, któremu wiernym przez lat kilka pozostał, zwłaszcza portret hrabianki M. na koniu i hr. T. — obok wielu innych. O jego portretach kobiecych powiedzieć można, że są malowane z dużym poczuciem kobiecości. Równocześnie wystawiał dużo w tamtejszych salonach artystycznych. W licznych jego krajobrazach znać szczerą i trafną obserwację natury, na którą patrzy wprost i bezpośrednio — chociaż pejzaże jego, zwłaszcza niektóre, posiadają skłonność do pewnego nastroju melancholii, występującej na jaw u niego tylko w tym kierunku

malarstwa. Pozatem dzieła jego cechuje przeważnie spokój i pewnego rodzaju pogoda ducha, broniąca go od szukania efektów jaskrawych, błyskotliwych i krzykliwych.

Przeniósłszy się przed kilku laty



Andrzej Zarzycki. Portret chłopczyka.



Andrzej Zarzycki. Portret dr. S.

do Warszawy, skąd robi częste wycieczki na południe Francji i do Włoch, wystawia często w Tow. Zachęty, a pozostając wiernym swej dawnej działalności, maluje portrety, krajobrazy i dużo rysuje.

Pomimo staranności, jaką otacza każde swe dzieło, nawet drobną ilustrację na użytek chwili bieżącej, płodzi Zarzycki szybko i łatwo. A w każdym dziele znać nietylko wprawę techniczną, za pomocą sumiennych studyów zdobytą, ale także poszanowanie dla swego fachu, niezapominanie, aby rzecz posiadała zawsze artystyczną cechę i znamie piękna.

Zresztą, artysta znajduje się za ledwie w połowie swej kariery i działalności, ma więc jeszcze przed sobą cały świat i daleką przyszłość w sztuce.

A. B.



Andrzej Zarzycki. Portret p. K. (pastel).

„Mały Wawel”

Godzi się jaknajgłośniej opowiedzieć, jak to było... Od wieków stoi na lwowskim Rynku sędziwa „kamienica królewska”, jeden z najpiękniejszych dawnych domów w mieście, tysiącem wspomnień związany z pamięcią Sobieskiego. Gmina lwowska wykupiła ten dom z rąk prywatnych, aby go nazawsze ubezpieczyć przed kapryсами losu. Przeprowadziła jego gruntowną, pełną pietyzmu restaurację. Ufundowała tu, наконец, muzeum, dla którego znalazły się odrazu bogate zbiory i którego uporządkowanie dobiega właśnie do końca: „Muzeum narodowe imienia króla Jana III”... I dumny jest Lwów, że ma swój „mały Wawel”!

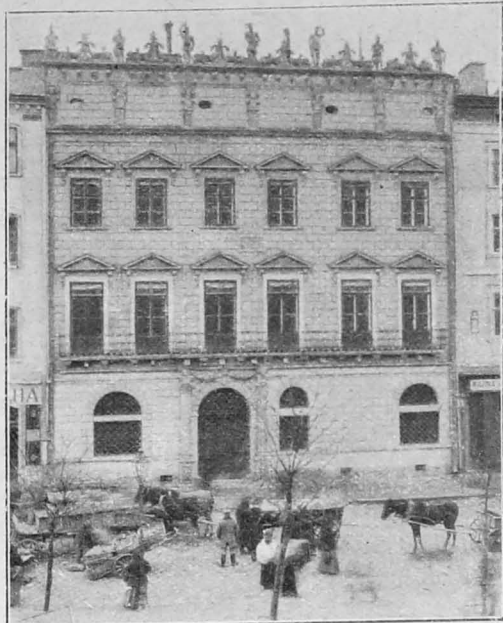
Ma gmina miasta Lwowa słuszny tytuł do dumy.

Jej zarząd dokonał pięknego

działa kulturalnego i patryotycznego, którego natchnieniem była troska o narodową przyszłość miasta. Światły zarząd gminy zrozumiał, że jeśli w dzisiejszych ciężkich warunkach ma Lwów polski ostać się na kresach, jeśli ma zachować chlubne miano „przymnożyciela polskości”, musi, posługując się nowoczesnymi środkami działania, obwarowywać się jaknajwyższymi szaniami kultury. Tylko one, tylko intensywny i płodny ruch kulturalny, promieniujący w życie, może dziś zachować miastu jego odwieczny polski charakter i jego narodową przewagę na wschodzie. Spełnia to zadanie gmina, wznosząc dziesiątki szkół, wspomagając hojnie każdą pracę duchową, fundując katedry uniwersyteckie, tworząc instytucje cywilizacyjne publicznego użytku. Dzieje się to wszystko różnym tempem. Kilka lat wystarczyło dla stworzenia z niczego wielkiej już dziś i wspaniałej Galerii miejskiej. „Muzeum narodowe imienia Jana III”, dzieło również paru ostatnich lat, to druga instytucja tego typu. Jego charakter zakreślony został dość szeroko, aby z pełną słusnością przysługiwać mu mogło miano „narodowego” muzeum. Zabytki, dotyczące specjalnie Lwowa, jako kresowej strażnicy Rzeczypospolitej, a w szczególności zabytki z epoki Sobieskiego, to było pierwotne założenie. Ale rychło uległo ono znacznemu rozszerzeniu. Dziś muzeum narodowe lwowskie usiłuje dać obraz całej naszej roli dziejowej na wschodzie ruskim, naszych prac cywilizacyjnych i dzieł orężnych, a w obrazie tym Lwów i epoka wieku XVII, epoka, uwieńczona panowaniem Sobieskiego, będą już tylko osią, około której ta rozleglejsza całość wiruje.

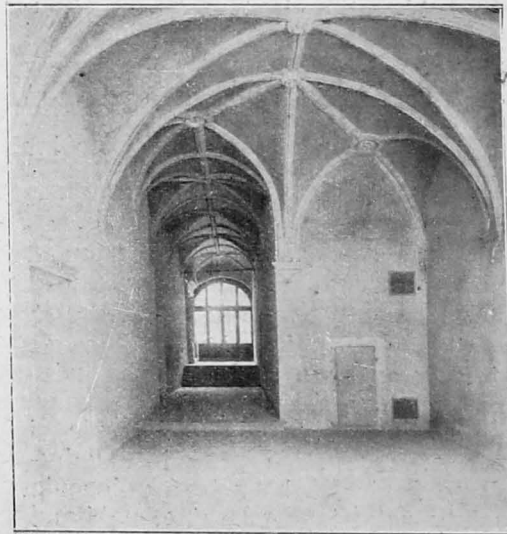
Niezależnie od samych zbiorów muzealnych, dziełem wysokiej kultury było ocalenie od możliwej zagłady i przywrócenie do dawnej zewnętrznej świetności domu, który owe zbiory miał pomieścić. Podwójną cenę duchową ma lwowska „kamienica królewska”, w której Muzeum znalazło pomieszczenie. Jest perłą dawnej architektury... Jest istotnie jakby „małym Wawelem”, tyle pamiętnych i świetnych przylgnęło tu wspomnień...

Uwieńczony na szczycie swej fasady prześliczną i wysoce oryginalną atyką, jakiej nie posiada nawet tak bogaty architektonicznie Kraków, dom dzisiejszego Muzeum, jak świadczy data, wyrzeźbiona nad bramą, powstał w obecnej swej postaci w r. 1580, a zbudował go sławny patrycyusz lwowski, Konstanty Korniański, grek, rodem z Krety. W roku 1640 nabył go wojewoda bełski, Jakób Sobieski, ojciec Jana III, i od tam, aż do początków XVIII w., dom pozostaje w posiadaniu Sobieskich. Jan III urządza tu rezydencję swą na czas częstych pobytów we Lwowie, i z tej to właśnie epoki datuje się

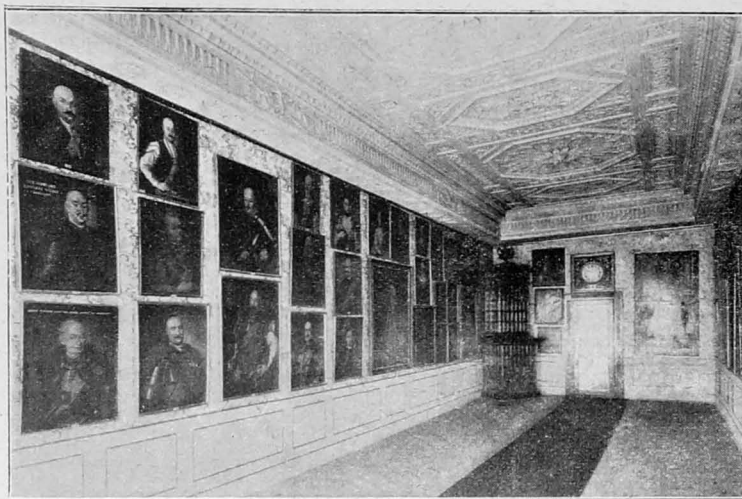


„Kamienica królewska” we Lwowie, mieszcząca Muzeum Narodowe im. Jana III-go.

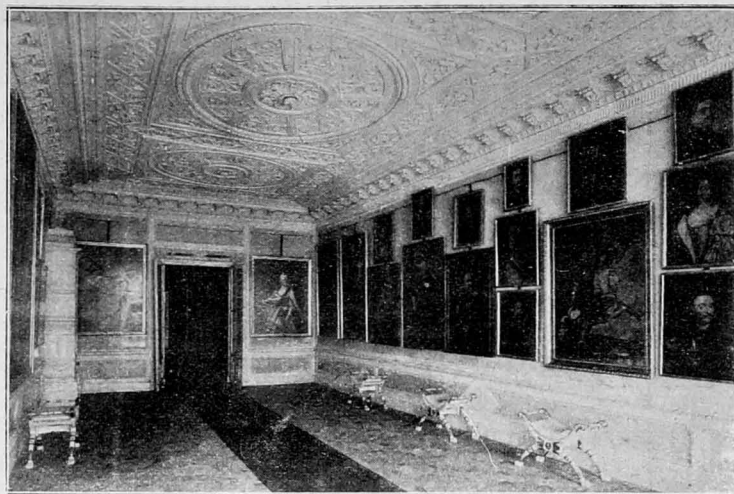
dziejowa dostojność kamienicy, od królewskiego swego właściciela nazwanej „królewską”. W jej murach bawi już kilkakrotnie Jan Kazimierz, w niej sam właściciel, Jan Sobieski, jako hetman jeszcze, spędza najpiękniejsze dni swego pożycia z Maryą Kazimierą. Wszystkie nader liczne wspomnienia, jakie łączą Lwów z osobą rycerskiego króla, łączą się zarazem ściśle z jego kamienicą. Tutaj mieszkając — pisze historyk Lwowa, dr. A. Czołowski — dawał posłuchania, przyjmował hołdy, odbywał uroczystości rodzinne, spędzał święta, zapraszając na nie mieszczan, których prawie wszystkich znał osobiście. Stąd łaskami obdarzał miasto, zatwierdzał jego przywileje, czuwał nad jego bezpieczeństwem i rozwojem. Tu układał plany wojenne, odbierał relacje, po trudach rycerskich szukał pierwszych chwil wytchnienia, tu wreszcie, za każdym pobycem królewskim, rozstrzygały się najważniejsze sprawy państwa — król w majestacie zasiadał na tronie, odbywały się narady senatorów, wypowiedali opinie swe najwyżsi dostojnicy Rzeczypospoli-



Sięż wchodowa w „kamienicy królewskiej”.



Część sali audyencyjnej: portrety.



„Sala królowej” — galeria portretów.

tej i posłowie zagraniczni. Tutaj, w murach tego domu, król arcychrześcijański pod wpływem Watykanu ze łzami w oczach podpisywał warunki smutnego „traktatu Grzymułtowskiego”, który nas zubażał o Kijów i Smoleńsk...

Królowa Marysienka, po śmierci męża, przemieszkiwała tu dłuższy czas i przyjmowała Augusta II. W r. 1709 królewicze sprzedali dom Rzewuskim, w których posiadaniu pozostawał on prawie cały wiek, sprzedany następnie Chodkiewiczom, a wreszcie Ponińskim. Gdy ks. Kalikst Poniński zmarł przed kilku laty, miasto Lwów powzięło piękną myśl, aby „kamienicę królewską” nabyć na własność, odrestaurować i uchronić nazawsze. Kosztowne kupno, dokonane bez żadnych utylitarnych widoków, było czynem kulturalnym i było aktem wdzięczności wobec pamięci wielkiego króla, który tak gorąco Lwów miłował. Nie jednak nie znaleziono z dawnych sprzętów i pamiątek po Janie III. Cokolwiek było cenniejszego z tych czasów, przewieziono dawno do Żółkwi i Podhorzec, dwóch innych rezydencji Sobieskich. Zabytki XVIII w. zostały przy spadkobiercach Ponińskich. Nabytą kamienicę objęło miasto pustą i w stanie największego zaniedbania. Mimo przeróbek jednak i uszkodzeń, dawna siedziba królewska zachowała była jeszcze majestat piękna. Parę lat trwała umiejętna, na sumiennych badaniach oparta i z pietyzmem przeprowadzona restauracja, która w najgłówniejszych zarysach dobiegła do końca. Lwów może się dziś pochlubić tym królewskim klejnotem, który wśród zabytków jego należy do najcenniejszych i najpiękniejszych. Poważną fasadę wieńczy owa przepiękna atyka, zdobna rzędem kamiennych posągów, wyobrażających króla w koronie i szereg rycerzy. Te posągi—to zabytek po Janie III, bo z jego polecenia zostały ustawione. Brama, nabijana 327 gwoździemi, wiedzie do pysznie sklepionej sieni, na dziedziniec, w

którym zachowała się część arkadowych krużganków, i do licznych komnat, pełnych wspaniałych stiuków z w. XVII. Tu właśnie, w czterestu narazie salach pierwszego i drugiego piętra, pomieszczone zostało Muzeum narodowe imienia Jana III...

Podstawę muzeum utworzyły zbiory, gromadzone od lat 20 z inicjatywy kierownika archiwum miasta Lwowa, d-ra Aleksandra Czołowskiego, reszta napłynęła szybko w postaci nowych zakupów, darów i depozytów. Niemało tu już rzeczy, godnych widzenia, odpowiadających wysokiemu muzealnemu poziomowi...

Zrąb zbiorów tworzy duża galeria polskich portretów historycznych — przeszło trzysta — z w. XVI, XVII i XVIII, niekiedy znacznej wartości artystycznej, a zawsze wielkiej wagi dziejowej. Są tu liczne portrety Sobieskich, portrety towarzyszków broni Jana III, królów, hetmanów, senatorów świeckich i duchownych Rzeczypospolitej. Bogato rzeźbiona „sala tronowa” poświęcona została wyłącznie pamięci Jana III. Mieszczą się tu autografy królewskie, wśród których listy do Marysienki, dalej rzadkie druki okolicznościowe, związane z osobą króla, wydane przeważnie we Lwowie, jak panegiryki i mowy powitalne, dalej ryciny, przedstawiające czyny wojenne Sobieskiego, medale, odnoszące się do niego i na jego cześć bite, dyplomy, pieczęcie, monety. W jednej z sal znalazła się ogromna kolekcja sztuchów polskich i do Polski się odnoszących z depozytu posła Włodzimierza Kozłowskiego; na bogaty ten zbiór składają się portrety, widoki miast, sceny rodzajowe — w tem wiele niepospolitych rzadkości. Tytułem depozytu również złożyły tu kościoły i klasztory lwowskie wiele cennych malowideł. Pozyskało muzeum bardzo piękne i ciekawe posągi, w drzewie rzezane, które zdobiły niegdyś zewnętrzną klatkę schodową w zamku królewskim w Żółkwi, dziś zrujnowanym. Obfite są już zbiory nu-

mizmatyczne. Mała zbrojownia pomieściła się w parterowej sali o ostrołukowym sklepieniu; sala ta jest niewątpliwie zabytkiem pierwotnego domu, jeszcze gotyckiego, który częściowo wszedł w konstrukcję „kamienicy królewskiej”. W trzech salach ulokowane zostały przedmioty i zabytki, odnoszące się specjalnie do przeszłości Lwowa, więc zabytki cechowe, jak godła, sztandary, skrzynki cechowe, puławy, malowidła, lub pamiątki ogólne, jak zabytki municypalne, monety z mennicy lwowskiej, pieczęcie, medale, widoki miasta z różnych epok. Z czasem dział ten zostanie wyosobniony, jako „muzeum historyczne miasta Lwowa”, i przeniesiony do innego gmachu, być może, do prastarego arsenału króla Władysława IV, który dziś służy wojskowości austriackiej, a który gmina również pragnie odzyskać.

Dr. Tadeusz Rutowski, dr. Aleksander Czołowski, to dwaj ludzie, których inicjatywą Lwów odzyskuje i ubezpiecza swe szacowne pomniki chwały i zamienia je w ogniska żywej kultury. „Mały Wawel” lwowski, najdrogocenniejszy z tych pomników, inwentaryzujący ku pamięci przyszłych pokoleń obraz naszej pracy cywilizacyjnej na Rusi, już płonie twórczym ogniem.

Lwów.

Jast.

Nie warto płakać.

Nie warto płakać, nie—
bżów,
Majowe wszędzie słońce,
Zakwitną bzy pachnące
znów —
Nie warto płakać, nie.
Nie warto płakać też
snów,
Marzenia, jak motyle,
Z wiosną ich będzie tyle
znów...
Nie warto płakać też.

Iza Bronikowska.

Koń-matematyk.

Jest już całe grono koni-matematyków. W niemieckim miasteczku, Elberfeldzie, znanem dotychczas z doskonałego, niemal idealnego sposobu organizacji filantropijnej, istniał hodowca koni, Wilhelm von Osten, który w inteligencję tego zrezygnowanego towarzysza człowieka posiadał wiarę nieograniczoną. Ze stada swego wybrał więc najinteligentniejsze zwierzę, nazwane przez niego Mądrym Hansem, i począł je uczyć czterech działań arytmetycznych. Nauka postępowała, jak na konia, znakomicie, świetnie, nawet — kolosalnie... Mądry Hans nauczył się czterech działań, czem zachęcony nauczyciel począł go stopniowo wtajemniczać w dziedzinę wyciągania pierwiastków kwadratowych, sześciennych — i wyższych. Uczył go także i znajomości liter, składania ich w wyrazy i związku, jakimi te znaki mają z czynnościami i przedmiotami.

Ci, którzy posiadają pierwsze pojęcia z psychologii, zapytają zaraz:

— Więc zwierzę myślało, bez pomocy mowy?

Tak jest, zwierzę Wilhelma von Ostena myślało, robiło operacje logiczne, bardzo skomplikowane, nie posługując się mową, bez której my, cośmy łyknęli trochę filozofii, nie umiemy sobie wyobrazić możliwości sformowania pojęcia, — a więc i nie możemy sobie wyobrazić możliwości powstania w takiej głowie abstrakcji, — czyli że całe te manipulacje nie mogą się pomieścić w naszych głowach, jako *myślenie*.

Tegoż samego zdania, które tu apriorycznie wypowiadamy, była specjalna komisja berlińska, której poruczono zbadać nadzwyczajne zdolności matematyczne Mądrego Hansa. Posteriorycznie, po licznych doświadczeniach, orzekła, że wszystkie manipulacje konia - matematyka nie mają nic wspólnego z rozwojem jego umysłowych zdolności i że polegają zapewne na wysoko posuniętej tresurze.

Wilhelm von Osten wpadł w rozpacz. Nie dlatego, żeby uważał on orzeczenie komisji tej za niesprawiedliwe, i nie dlatego, żeby spostrzegł, iż cały jego system uczenia koni matematyki jest chimera. Nie! Nabral on przeświadczenia, że Mądry Hans przed komisją berlińską — zdradził go w najhaniebniejszy sposób. Wyobraźcie sobie, to bydlę umyślnie odpowiadało źle, albo nie odpowiadało wcale! Przez psi figiel! Przez małą złośliwość! Przez świński charakter! Przez kocia przewrotność!

Umarł więc Wilhelm von Osten ze zmartwienia, nie przestając do ostatniej chwili czynić Mądrym Hansowi pełnych żalu wyrzutów.

Zakład hodowli koni odziedziczył po nim p. Krall, i ten w ideę swego poprzednika całkowicie uwierzył. Prowadził w dalszym ciągu studia matematyczne z Mądrym Hansem, a oprócz tego wybrał ze stada 3 inne konie, — Zarifa, Muhameda i Henschena, — zaprząwszy je do dodawania, odejmowania, mnożenia i dzielenia. Studia więc nie przerwały się, postępują one bez przerwy, a sprawa ta zaczyna robić niebywały hałas na cały świat. Krall właśnie wydał dzieło o swych koniach, p. t. „Denkende Thiere“, a jeden z uczonych zoologów niemieckich, Sarasin, zbadał konie krallowskie na miejscu i ogłosił o swych spostrzeżeniach szczegółowy raport w piśmie specjalnym: „Zoologische Anzeiger“. Różni głośni uczeni zaś, jak Ostwald, Haeckel, Claparède, wypowiedzieli w tej sprawie parę sądów, zresztą luźnych tylko, o dziennikarskim charakterze, i nieobowiązujących.

Gdyby doświadczenia Kralla były przekonujące, obaliłyby one całą dzisiejszą psychologię wogóle, nietylko psychologię zwierząt, ale nawet i fizjologię by naruszyły, ta nauka bowiem wskazuje nam na związek funkcji myślowych ze złożonością organu myślenia: mózgu, zaś mózg konia przedstawia się bardzo ubogo i prymitywnie w porównaniu z innymi zwierzętami. Ale to są tylko teorie. Niema tak solidnej teorii, któraby nie ustąpiła przed dobrem, przeczącem jej doświadczeniem. Idzie tylko o to, aby doświadczenie to było wyraźne, jasne, klasyczne. Przypomnijmy sobie, że Harvey przekonał świat o obiegu krwi przy pomocy dwóch tylko, ale znakomicie przeprowadzonych doświadczeń.

W danym razie mamy coś odwrotnego: wielkie mnóstwo doświadczeń, nie prowadzących do żadnej ściślejszej konkluzji. A nawet, na każdym kroku budzą się wątpliwości i niepewności. Pochodzi to zapewne ztąd, że ani von Osten, ani Krall nie należą do uczonych. To hodowcy, może znakomici, mistrze tresury, może genialni, ale o tem, czem jest doświadczenie naukowe, mają oni mętne i dyletanckie pojęcie. Gdyby mieli o tem pojęcie dokładniejsze, nie braliby się do nauczania koni wyciągania pierwiastków z liczb milionowych, dopóki by nie zostało dowiedzionem *bez żadnego zastrzeżenia*, iż koń umie dodawać parę najprostszych cyfr.

Otóż zdarza się co chwila, że koń-matematyk wyciągnie jakiś pierwiastek z długiej liczby, a omyli się w dodaniu 2 do 3?!

Zresztą, zobaczcie sami, jak zachowywał się najzdolniejszy z koni, Muhamed, wobec prof. Sarasina:

Ten profesor napisał mu na tablicy takie zadanie:

$$\begin{array}{r} 5 \\ \sqrt{147008443} \end{array}$$

Krall na to powiada do profesora:

— On nigdy jeszcze nie wykonywał nic podobnie trudnego.

Poczem do konia:

— Pierwiastek piątego stopnia z 147 milionów, 008 tysięcy, 443. Wykonaj to!

Koń poczyną to wykonywać. Jego system pisania polega na tem, że stuka w podstawioną mu deskę lewą albo prawą nogą. Uderzenia lewą nogą oznaczają jedność, prawą dziesiątki, potem znowu lewą — setki, znowu prawą — tysiące. Na zero koń kręci łbem w kółko.

Otóż koń daje natychmiastową odpowiedź:

— 23.

Krall powiada:

— Źle.

Koń się poprawia. Wystukuje naprzód: 24, potem 32 albo 33 (dobrze niewiadomo, bo jedno stuknięcie było niewyraźne) potem 22, — 63, — 33.

Krall podejrzewa konia o złą wolę i woła:

— Albert, podaj bat!

Posługacz przynosi ciężki bat, uderza nim w przegrodę i zbliża się do konia. Koń wtedy zbliża się do deski i wystukuje, w sposób zdecydowany i prawie gniewliwy, dobre rozwiązanie zadania:

44.

Co wy na to, czytelnicy? Mnie doświadczenie to bynajmniej nie zdumiewa. Mnie ono — nic, literalnie, nic, nie mówi. Takich mglistych, niepewnych, niejasnych doświadczeń jest w dziele Kralla i w raporcie Sarasina pełno. Każą koniowi pomnożyć 2 przez 4. Koń pisze — 6. Krall powiada: „On myślał, że mu kaza-no te dwie cyfry dodać!“ Każą koniowi dodać 22 do 35. Koń pisze — 75. Krall powiada: „Przestawił cyfry. Ale zadanie wykonał poprawnie, tylko wyraził wadliwie“. Każą koniowi dodać 7 do 16. Koń pisze — 11, potem 84, — potem — 12. Krall powiada: „To zwierzę naigrawa się z nas widocznie!“ I odsyła je do stajni. Z doświadczeń wypada, że *czasem* rozwiązanie, jakie koń wystuka kopytem, jest dobre. Większość pierwszych odpowiedzi konia, znaczna większość, jest zła. I to zupełnie niezależnie od tego, czy zadanie jest bardzo trudne, czy elementarnie łatwe. Gdyby koń robił te zadania przez myśl, toć z konieczności przy trudnych myliłby się daleko częściej, aniżeli przy łatwych. Tak zaś nie jest.

Ci, co się temu bliżej przyjrżeli, powiadają nam:

— Stoimy wobec tajemnicy.

Ale niema dotychczas ani jednego głosu poważnego, któryby powiedział:

— Mamy myślące konie.

Jeżeli więc odrzucimy przypuszczenie, że doświadczenia te polegają na zrzecznej szarlatanerii nie-

mieckiego hodowcy i że prosty przypadek, czasem schodzący się z rozwiązaniem zadania, nie gra tu roli głównej, — to mamy zagadkę, której nie rozświetlił jeszcze najmniejszy promyczek światła.

Zachowujmy więc roztropną ostrożność wobec myślących koni, które nam zachwala, — pamiętajmy o tem, — nie uczoney niemiecki, ale niemiecki zarobkowiec.

Dr. Voks.



Nowy król grecki Konstantyn XII ze swą rodziną

Król grecki zamordowany.

Król Jerzy I grecki został zamordowany w zdobytych świeżo przez oręż helenów Salonikach. Europa przyjęła z osłupieniem tę wieść. Nic jej nie zapowiadało, nic nie tłomaczyło. Naród grecki prowadził wojnę, i to wojnę zwycięską. Zdobył Saloniki, zajął wyspy Egejskie, świeżo obchodził tryumf świetny po odebraniu turkom Janiny, po zaciętym ich oporze. Nic nie słyhać było o jakichś partyach czy frakcyach politycznych, któreby głowę podnosiły ponad porządek publiczny. Zreżymy Venizelos, najznakomitszy z dyplomatów, jakich los dał nowożytnym grekom, umiał wszystkich godzić w dążeniu do wspólnego ideału, w wielkim wysiłku do odbudowania Grecji Wielkiej.

Jakoż wyjaśnia się, że król helenów stał się ofiarą obłąkańca. Morderstwo to, bezmyślne i bezcelowe, dokonane zostało w dniu 18 marca. Król wyszedł po obiedzie na zwykłą przechadzkę. Przy boku miał adjutanta, kapitana Frankojtesa. Podeszedł do niego wtedy jakiś nieznajomy, z prośbą o wsparcie. Król odmówił i minął go.

Wtedy nieznajomy dał do króla dwa strzały z tyłu. Już pierwszy był śmiertelny: przebił płuco i rozdarł serce. Król upadł na ziemię. Przeniesiono go zaraz do szpitala wojskowego, gdzie skonał, nie wypowiedziawszy słowa.

Było to w 50-tą rocznicę objęcia przez niego berła starożytnej Grecji.

Właśnie cieszył się, że zwycięstwa oręża greckiego przypadają na ten jubileusz. Rozmawiał o tem z adjutantem swoim, gdy kula bezmyślna przecięła zarazem jeden z tych radosnych frazesów, wraz z pasmem królewskiego żywota.

Jerzy I był duńczykiem, synem króla Chrystyana IX, który umiał wszystkie swe niemal dzieci posadzić na tronach europejskich. Jego siostrą była królowa angielska, drugą Cesarzowa rosyjska. Koronę grecką wręczyło Jerzemu Zgromadzenie Narodowe na posiedzeniu 30 marca 1863 r. Przedstawiciele państw opiekuńczych, Anglii, Francji i Rosji, wyrazili 5 czerwca swą zgodę na ten wybór. Dnia 6 czerwca król Jerzy koronę przyjął, 30 października wyładował w porcie Pireus, nazajutrz objął panowanie. Anglicy dali mu w

darze wyspy Jońskie, nad którymi utrzymywali protektorat.

Popularnym w Grecji król Jerzy nie był. Rozważny, chłodny, pozytywny, nie dawał się unosić łatwym a nieopatrzny uniesieniom swego ludu, który zachował w swej naturze wszystko, co w niej było *wschodem*, nie odziedziczywszy po pokoleniu Peryklesa nic, co stanowiło jego wielkość. W czasie powstania na Krecie w 1868 r. nie wydał wojny turkom, — którąby została z pewnością przegrana, jak tego dowiodła wojna 1897 roku. Od tego momentu naród miał do niego żal, może i niechęć. Starał się zatrzeć te uczucia i patrzył na agitację wielkoheleńską, jeżeli nie z czynną sympatją, to conajmniej z zachęcającą biernością. Połączyło go to z narodem, pozwoliło na wybór ministrów wedle jego woli, ale zarazem spowodowało fatalną klęskę roku 1897.

Smutne wrażenia pozostały w pamięci świata po tej krótkiej wojnie, w której greki niczem nie usprawiedliwili zainteresowania, okazanego im przez ogół wykształcony Europy. Ani jednego zwycięstwa! Ani jednego czynu bohaterskiego! A jedyny człowiek, który wtedy nieco męstwa okazał, nazywał się — Smoleński i był potomkiem polskiego emigranta.

Jednak ta przegrana wojna nie przyczyniła grekom żadnej straty. Wspomnienia historyczne i stosunki Jerzego I połączyły się tu, aby Turków pozbawić wszelkich owoców zwycięstw. A wkrótce syn Jerzego został rządcą Krety, co było już rodzajem aneksji greckiej tej wielkiej wyspy.

Król Jerzy I ożeniony był z Wielką Księżniczką rosyjską, Olgą. Pozostawił sześcioro dzieci. Księżę Sparty, Konstanty, urodzony w 1868 r.

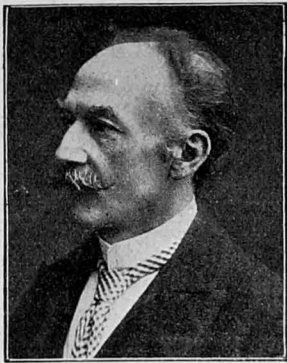
Morderca nazywa się Aleksander Schinas. Narazie myślano, że jest on Bułgarem i że akt jego ma związek ze wzmagającym się zatarciem grecko-bułgarskim. Okazało się, że jest to grek. Po zabójstwie nie stawiał oporu, prosił, aby go czempredziej uwieziono, bojąc się natchmiastowej zemsty ludu. Na śledztwie mówi zdaniami, że powiązaniem. Podaje się za socjalistę.



Zamordowany w Salonice król grecki, Jerzy I.



Nowy król grecki, Konstantyn XII-ty.



Tomasz Hardy, nestor powieściopisarzy angielskich.



Arnold Bennett.



John Galsworthy.

Nowe prądy w literaturze i na scenie angielskiej.

Pan Clement Shorter, jeden z bardziej znanych krytyków tutejszych, twierdzi, że w angielskiej literaturze współczesnej mamy tylko jednego mistrza, a że blizki on siedemdziesiątego piątego roku, nie widać po nim następcy. „Po Tomaszu Hardy zostanie literatura angielska zdana na łaskę i niełaskę tuzinkowych pisarzy sensacyjnych powieści, którzy się przekonali, że majątki robią tylko ci mistrze, którzy ściągają publiczność do jak najniższego poziomu, zamiast wzbijać się z nią na wyżyny“. Sąd dla pisarzy za surowy, bo cięższa wina publiczności. Jeżeli mamy w Anglii nadmiar sensacyjnej, sentymentalnej, mdłej powieści, to wina publiczności, tak samo, jak winą publiczności jest poziom obecny teatru angielskiego. Wspaniałe tualety, bajeczne dekoracje, fantastyczne kostiumy, a przedewszystkiem „dobre zakończenie“—oto, czego przeciwny Anglik od teatru wymaga. A że dyrektorowie żyć muszą, aktorzy także, więc—by zadowolić publiczność, rezygnują z ideałów i z fantastycznych snów o zmiennym repertuarze, by wystawić po setki razy „Our Miss Gibbs“, głupią operetkę, albo „Kismet“, sentymentalno-orientalną fantazję, albo „Glad Eye“, o którym Angliki myślą, że jest szczytem paryskiej gamineryi na scenie, ale którą Francuzi w przeróbce angielskiej wzięliby za sztukę dla dorastających pańienek.

Pomimo to, stoimy obecnie u przełomu. Coś się dzieje w literackim świecie angielskim. Wiktoryańska pruderyja i sentymentalność, niedawno jeszcze królewska droga do sławy autorskiej i majątku, stanowiąc wyrażenie zaczyna luki, a w literaturze i na scenie pojawiają się od lat kilku powieści i sztuki, pisane i wystawiane, jeżeli nie dla mas szerokich, to dla wybranych kilku tysięcy. Pojawiają się i mają powodzenie znacznie lepsze, niż, bądź co bądź, za wiktoryańskich czasów dzieła, wyłamujące się z ciasnoty moralnej, bliźniej siostry świętoszkostwa, które wtedy niepodzielnie panowały. Tomasz Hardy przeżył to panowanie

i dziś cieszy się poczytnością i powodzeniem. Dwie mamy wybitne postacie, jako przedstawiciele nowych prądów. To John Galsworthy i Arnold Bennett. Pierwszy z nich, pomimo swych dążeń socjalistycznych, pomimo ciągłych walk z tradycyjnymi urządzeniami, mimo ironii dla istniejącego kodeksu praw i zwyczajów, — arystokrata z krwi i kości. Przesnuwa się to we wszystkich jego książkach. Najlepszą jego powieścią jest „The Man of Property“. Tam to spotykamy się z wiernym wizerunkiem, bez wiktoryańskiej aureoli typowego Anglika, Johna Bulla dziewiętnastego stulecia, buldoga, który, gdy nad czemś szczyki zaciśnie, nie wypuści z paszczy, choćby ze szkoda dla siebie i drugich. Takim jest mąż Ireny w „Man of Property“, takim jest Squire w „Eldest Son Squire“, sobowtór szlachcica polskiego znanej odmiany, jak na ogół całe „squireage“ angielskie rys w rys przypomina wady i zalety polskiego ziemiaństwa. „Eldest Son“, sztuka, doraźnie określająca podwójną moralność w wyższych sferach: jedną dla własnego użytku, a drugą dla użytku pospółstwa i „niższego ludu“. W „Island of Pharisees“ (Wyspa Faryzeuszów) tytuł już sam mówi, że spotykamy się z faryzeuszostwem angielskim. W „Justice“ i „Silver Box“, obu sztukach współczesnych, wykazuje wszystkie braki i niedorzeczności w urządzeniach sądownictwa i policji. — Oprócz wyżej wspomnianych książek, napisał Galsworthy „Jocelyn“, „The Country House“, „The Patrician“ i inne pomniejszej wartości. „The Pigeon“, sztuka współczesna, nie miała powodzenia.

Arnold Bennett — pisarz zupełnie innego kierunku. Sława jego poczęła się od „The Old Wives Tale“. Za środowisko obrał w tej powieści jedno z pięciu miast prowincjonalnych, słynnych ze swoich wyrobów garncarskich, a znanych w całym angielskim świecie pod nazwą zbiorową „The Potteries“ — popolsku „Glinianki“. Sam urodzony w jednym z tych miast, w Hanley, z małemi wyjątkami osnuł wszystkie powieści swoje na tle stosunków tego świata odrębne, i czy bohaterami jego są drobni mieszczanie, weszli z robotniczej sfery, jak w „Clayhanger“, czy

średnia burżuazya, jak w „Old Wives Tale“, zawsze spokojnie, prawie drobiazgowo, z pewną dozą humoru i ironii, podaje historię naturalną tej rodzinnej swej części Anglii. A tak plastycznie, że chwilami, zdaje się, sami żyjemy w tej atmosferze fabryk i gliny, że podzielamy sami troski i drobiazgowość tych ludzi z innego, ledwie że niezrozumiałego świata. We wszystkich prawie powieściach Bennetta spotykamy się z kobietą prostą, niewyszukaną, jednak pełną szlachetnych porwów, idealnych dążeń, macierzyńskich instynktów. Ironią chłopszczyzny otoczenia, urzędzenia, kreśli nam dziwaczne typy skąpców, parweniuszów, wielkości małomiasteczkowych. Ale kobiety jego mogą być śmieszne lub zabawne, drobnostkowe lub zacofane, zawsze jednak znajduje się w nich jakaś „redeeming teature“ — jakiś rys pociągający, dla którego nawet śmieszność zaskarbi sobie u czytelnika przebaczenie. „Clayhanger“, „Hilda Lessways“, „Anna of the Five Towns“, „The Grim Smile of the Five Towns“ składają się na szereg powieści jego stron rodzinnych. Od czasu do czasu odzywa się w Bennecie żyłka fantastyczno-sensacyjna i, nie wiedzieć, czy jego wybryki literackie, jak „The Grand Hotel Babylon“ i „The City of Pleasure“, brnąć na seryo, czy jako parodję. Oprócz powieści i rozpraw („Essays“) Bennett pisuje i dla teatru. Miał dotychczas wielkie powodzenie jego dramat „The Honeymoon“ i sztuka „Milestones“, w której opisuje trzy epoki świata angielskiego w odstępach kilkunastoletnich: 1860—1885—1912—i chce nas przekonać, że niema różnicy między ojcami i synami, że źródła scysy i kontrowersy w różnicach wieku, a nie w różnicach poglądów, szukać należy, i że kiedy synowie i córki sami już są rodzicami, zapominają o tem, czego w młodości żądali i co „swoim starym“ zarzucali. Sztuka, prawie że farsa, pod tytułem „What the Public Wants“ (Czego żąda publiczność?) ironizuje dzisiejsze stosunki dziennikarskie w Anglii. Morderstwa, duchy i inne sensacje dziś w poczytnej prasie tutejszej rzecz główna. Ale czy Cetynia w Austrii, Turcy lub Czarnogórze, rzecz obojętna. Czytelnik tak samo nie wie, jak czasem redaktor. Bohater sztuki, parweniusz, milioner, którego maksyma: „I give the Public what the Public wants“. Dość przezroczywa charakterystyka, by mózż w nim poznać wszechwładnego dziś Lorda Northeliff, właściciela: „Daily Mail“, „Daily Morrow“, „Weekly Dispatch“ i jakich pięciu tuzinów pism „żółtej“ prasy — liberalnych i konserwatywnych.

Nie wspominam o znanym dobrze czytelnikom „Świata“ H. G. Wells'ie, którego powieści „Ann Veronica“, „The New Macchiavelli“, „Marrvage“ były streszczone i ocenione w rubryce literackiej „Świata“.

W młodszej literaturze, może najwięcej zwrócił na siebie uwagi Compton Mackenzie swoją powieścią „Carnival“, której bohaterką jest baletnica. Z niezwykłą dla anglików szczerością wprowadza nas Compton Mackenzie do szkół dramatycznych, na tournée prowincjonalne i za kulisy teatrów w Westend. Stanley Houghon, autor sztuk „Hindle Wakes“ i „The Younger Generation“, i Macdonald Hastings, autor „The New Sin“ (Nowy Grzech), „The Tide“ (Przypływ), to dramaturgowie ostatniego sezonu. Im i ich działalności przyjrzymy się bliżej, mówiąc o nowych prądach w teatrze angielskim i o powieściach nowego kierunku.

London.

Stanisława G.



Przyjaciel Towiańskiego.

Attilio Begey, 70-letni włoch, uczeń Towiańskiego, przyjechał specjalnie na dwa dni z Turynu do Genewy, by odwiedzić polskiego przyjaciela. Jest to wzruszająca postać. W 35 lat po śmierci „mistrza“ mówi o nim, jak o kimś, komu wszystko zawdzięcza, mówi z miłością najwyższą, ze czcią, a jednocześnie z pogodnym łacińskim realizmem.

Jakiegolwiek mogą być poglądy na Andrzeja Towiańskiego, istnienie takich ludzi, jak Attilio Begey, jest potężnym świadectwem, danem głoszonej przezeń prawdzie.

Begey jest adwokatem, ma konkretny, ścisły umysł łaciński, silne poczucie realizmu i ani odrobiny egzaltacji. Jest to rycerski, o dźwięcznym wyglądzie stary człowiek, pełen różnorodnych zamięłowań, życia i pogody. Ale gdy nad genewskim jeziorem, o wieczorze, karmiliśmy mewy drapieżne i śliczne — chlebem, w lot przez nie chwytanym — to Attilio Begey, cały zapatrzonej w nie i pełen zachwytu, wyglądał tak, jak mógłby wyglądać św. Franciszek z Asyżu...

A znów, gdy mówi o „Sprawie“ i wspomina dawne dzieje — jakiegoś pełne



Attilio Begey z prof. W. Lutosławskim.

opatrznościowych, zda się, okoliczności — z czasów poznania Towiańskiego; gdy wymawia z tą niezrównaną dykcją łacińską słowa polskie i twierdzi spokojnie i mocno, że „wszystko, czem jestem, zawdzięczał jemu, On obudził we mnie Ducha i miłość“; i gdy patrzy jednocześnie prostymi oczyma na świat i raduje się, jak dziecko, jego urodą — to czujemy napewno, że w tę łacińską duszę padły jakieś nieśmiertelne polskie ziarna i dziś, po półwieku, rosną jeszcze, choć siewca dawno już odszedł.

„My we Włoszech — mówił z uśmiechem — od 2000 lat przywykliśmy do najpiękniejszych frazesów i trudno nas czemś olśnić lub czemś nam zaimponować; trzeba Ducha i Czynu, by porwać nas tak, jak nas porwał Andrzej Towiański“.

Ma słuszość, i te słowa jego robią wrażenie. — taka wieje z nich prawda. Mimowoli myśl zwraca się kornie do owego wielkiego polaka, co cudzoziemców potrafił skupić w żywe ogniska bratnie, żarzące się w kilkadziesiąt lat po założeniu zawsze jeszcze tym samym ogniem wiary, jak za życia Czyniciela Sprawy.

Begey powiada skromnie, prosto, lecz uroczyście jakoś, bo z ogromnym skupieniem — jakby zapatrzonej w tamte, dawne lata — że poznanie Towiańskiego dla niego, jak i dla innych licznych, zbratanych potem w Sprawie włochów — to był najważniejszy moment w życiu; od niego zaczęło się życie nowe, intensywne; ten wielki nauczyciel dopiero nauczył ich prawdziwego znaczenia Ofiary, a z tem pojęciem otwarły się nowe światy dla ich serc i ducha. On ich oświecił, jak ustawicznie wcielać można najwyższe Ideały w codzienne czynności; jak mieć jednocześnie poczucie wieczności i świadomości wagi każdej chwili bieżącej. On skupił ich bez doktryny, bez reguł, bez paragrafów w ścisłe grono bratnie; ta wolność i to braterstwo było i jest źródłem nieustannej szczęśliwości. On wreszcie rozszerzał w tych, którzy się do niego zbliżali, granice poczucia życia i wyzwalał ich przez to z bolesnych ciasnych więzów materializmu.

Całe archiwum Sprawy Towiańskiego przeszło po śmierci Baykowskiego na przechowanie do Attilia Begey'a i ma u niego zbożne schronienie.

Poczuwa się też szlachetny włoch do obowiązków z tem związanych, wydał i wyda jeszcze cały szereg publikacji, dotyczących Sprawy. Sprowadził tego lata do swego domu w górach alpejskich młodego polaka, by mu przepisał rękopisy, mające na jesieni pójść do druku, gdyż autografów nie chce z bezpiecznego miejsca wypuścić; słowem, czuwa nieustannie nad tem wszystkim, co ma związek ze Sprawą i jest przez to dla niego święte.

On to wydał już trzy tomy pism Towiańskiego w Turynie po polsku i francusku, opracował szereg monografii znakomitszych towiańczyków włoskich, wśród których wyróżniają się dvgnitarze, jak monsignore Passavalli, Tancredo-Canonico, Scovazzi.

Attilio Begey był cztery razy w Polsce, ostatnim razem, by uczestniczyć w pogrzebie najmłodszego syna Towiańskiego; nie zapomniał naszego języka, choć prawie nie ma okazji do używania go, i jest wogóle młody, pomimo swoich lat 70-ciu, młody szlachetną krwią łacińską, młody polskim duchem i wiarą niezachwianą w Sprawę i w Boga.

Genewa.

I. L. de Egija

Opiekujmy się polskim emigrantem w Niemczech.

Zajdźcie kiedykolwiek w okolice Śląskiego Dworca w Berlinie! Usłyszycie tam zawsze polską mowę. Zobaczycie mniejsze albo większe grupy naszego ludu, kręcące się tu i owdzie, czasem zdezorientowane w świecie, dla nich najwidoczniej zupełnie nowym, czasem już z tym światem otrzaskane, umięjące sobie radzić, okazujące pewność siebie, a czasem i fantazyę szczególną.

Zbliźcie się do którego z tych chłopków polskich? Przemówcie do niego uprzejmie i uczciwie słowo? Rzućcie mu jakie przygodne zapytanie?

Nie będzie on z wami rozmawiał!

Albo obrzuci was okiem podejrzliwym i niechętnym i odpowie ni to ni owo, najwidoczniej nieusposobiony do konwersacji; albo, gorzej, ciśnie wam jakiś koncept niewczesny, jakie szyderstwo w stylu karczemnym...

Co to jest? Dlaczego ta nietowarzyskość? Skąd ta nienawiść?

Pomówcie wtedy z panem Władysławem Berkanem, znanym berlińskim krawcem i dzielnym społecznym działaczem. On wam wytłómaczy to dziwne zachowanie się ludu polskiego, stale przepływającego, niemal jak rok długi, przez Śląski Dworzec w Berlinie.

— Są to nasi wychodźcy na roboty polne w Niemczech, jak siebie nazywają: *obieźysasy* — mówił mi. — Znajdują się oni na kosztownej i z reguły niesumiennej opiece agentów, którzy ochraniają ich wszelkimi sposobami od zetknięcia się z żywiołem, dla interesów agenta niepożądanym. Taki robotnik, namówiony we wsi polskiej do wychodźstwa, ma już wyznaczoną sobie marszrutę — i narzucony sposób zachowania się w drodze. Agent nastraszył go opowieściami i bredniami, w które ciemny nasz chłopek uwierzył, a które innego celu nie mają, jak tylko odgradzenie chłopca od wszelkich wpływów, konkurencyjnych albo humanitarnych. Więc taki chłop, zwłaszcza jeżeli pierwszy raz puścił się na wychodźstwo, ma wszczepione, że po drodze różni panowie będą go zaczepiać, „udawać katolików“, wypytawać o różne rzeczy, a to dlatego tylko, żeby biednego chłopca na czem złapać, wyzyskać, albo nie puścić go na robotę do Niemiec. Więc chłop boi się każdego obcego. A już ma strach szczególny przed nieznanym, który go zaczepia w jego rodzimym języku i „udaje katolika“.

Zabawną rzecz opowiada mi p. Berkan:

— Nieraz jeden usiłowałem przełamać tę sztuczną nieufność i po nakładzie pewnych starań i trudów to mi się zwykle udawało. Wtedy dałem naszym chłopkom dobre rady, któ-

re czasem są słuchane. Razu jednego chłopak pewien słuchał ich cierpliwie, uważnie i z widocznym zaufaniem. Wkońcu, stwierdziwszy zupełną bezinteresowność otrzymanych wskazówek, zdziwiony i wzruszony, rzekł: „Zeby ta nie wasze wasy, to bych myślał, że wy jesteście ksiądz“.

Ruch wychodźczy do samych Niemiec naszego ludu jest zjawiskiem, pod ekonomicznym względem, olbrzymim.

— Rocznie przybywa tu do 800.000 naszego robotnika rolnego, — powiada mi p. Berkan. — Można liczyć, że przecięciowo jeden taki robotnik, wracając do domu, zawozi do kraju 150 marek. Proszę pomnożyć jedną z tych liczb przez drugą, — co za przyływ grosza gotowego do kraju! Cztery do pięciu milionów rubli, licząc w waszej monecie. A ile by można przywozić tą drogą więcej pieniędzy, gdyby ten ruch wychodźczy został nareszcie zorganizowany! Gdyby ujęto go w karby regularne, wydarto drapieżności agentów, usunięto od wyzysku t. zw. „vorarbeitów“?!

Otóż o tem doniosłem dziele dopiero w ostatnich czasach pomyślano w sposób konkretniejszy.

Tłómaczy nam p. Berkan:

— Istnieje w Polsce parę towarzystw, mających na celu opiekę nad wychodźcami. W Warszawie jest jedno, w Krakowie drugie. Są to jednak tylko punkty wyjścia. Należałoby opiekę nad tymi biednymi ludźmi zorganizować w tych punktach, dokąd oni przybywają i gdzie pracują. A to dopiero teraz się robi. Organizacya ta omawiana była na paru zjazdach katolickich i genetycznie jest ich dziełem. Księża są tu wskazanymi opiekunami. W Dreźnie na kongresie „Caritas“ wskazywali na konieczność opieki księży nad polskimi wychodźcami p. Caro i ks. Lipski, jezuita. Tę samą sprawę podnoszono na Kongresie eucharystycznym w Wiedniu, a zaraz potem na Zjeździe Skarogowskim w Krakowie. Był projekt urządzenia jednego stowarzyszenia katolickiego na całe Niemcy, któreby podjęło i przeprowadziło tę sprawę. Ale ks. kardynał Kopp na centralizację tej pracy nie zgodził się, — nie wiem, dla jakich godnych powodów — i tylko na dycezyjalne organizacje przyzwolił. Z tego powodu powstało w Poznaniu stowarzyszenie opieki nad wychodźcami, któremu przewodniczy ks. Beisert, a które posiada już dwa oddziały: w Berlinie i w Lipsku. To jest sam początek. Następne oddziały będą utworzone w Hannoverze, Bremie i w centrach rolniczych.

O te centra rolnicze głównie idzie. Należy bowiem pamiętać, że są to organy opieki nad wychodźcami tylko sezonowymi, a nie nad robotnikami polskimi przemysłowymi. Ci ostatni mają swoją organizację bardzo dobrą w Zjednoczeniu, gdzie

biorą udział w pracy, między innymi, pp. Sosiński i Nowicki, nasi posłowie. Robotnicy sezonowi, czyli rolni, utrzymywani są w charakterze masy ruchomej przez sam rząd niemiecki. Prawo nakazuje powrót do domu naszym robotnikom rolnym raz na rok. Nie może on pozostawać na ziemi niemieckiej albo przez Niemców zabranej dłużej nad dziesięć i pół miesiąca. O ile to prawo broni interesów niemieckich, — nic nas to nie obchodzi. Ale to prawo, należy mu to przyznać, broni doskonale interesów polskich. Zmusza ono wychodźcę naszego do przywiezienia swego zarobku do domu, a nie do pozostawienia go w kasach niemieckich, to jedno; następnie, broni ono wychodźcę od germanizacji i od protestantyzacji, któreby niezawodnie w jakiejś mierze nastąpiły, gdyby ci wychodźcy sezonowi zamienili się na stałych mieszkańców niemieckich miejscowości.



Władysław Berkan.



Dr. fil. Znaniecki.

— Nasze oddziały będą starały się ruch wychodźczy przez nie skierować i same będą dostarczały robotnika potrzebującym właścicielom rolnym. Wtedy będą w możności ochronić robotnika od wyzysku agenta, od wyzysku właściciela roli i, wreszcie, od wyzysku t. zw. „vorarbeitera“. A ta ostatnia rubryka, napozór drobiazgową, ma swoje znaczenie. Rozdział samej pracy w znacznym stopniu zależy od takiego „vorarbeitera“, który sam jeden w danej miejscowości umie się z robotnikiem rozmówić. Otóż zawsze imieniny takiego specjalisty wypadają w czasie robót polnych, a często jeszcze i imieniny jego żony i jego dzieci. Na prezent zbierają się wśród robotników składki, po kilka marek od osoby. Należy znowu pomnożyć to przez 800 tysięcy, aby przekonać się, iż nasz chłopak traci tą drogą parę milionów marek.

Obecnie centrala w Poznaniu i oddziały w Berlinie i Lipsku puszczane są już w ruch. Narazie operują one środkami ograniczonymi, zebraniem ze składek, ofiar, koncertów. Ostatnio odbył się na ten cel koncert w Berlinie, bardzo udany. Ale przyjdą z czasem normalne, choć drobne opłaty od robotników i pracodawców za pośrednictwo, i te organizacje mieć będą dostateczne fundusze dla swych celów.

— Nie wątpię, iż władze rządowe chętnym okiem patrzeć będą na naszą działalność, bo to im samym ułatwia utrzymanie porządku, — mówił mi p. Berkan. — Najprzód, ta dzia-

łalność będzie tylko humanitarną, następnie przyczyni się ona niemało do ułatwienia ruchu tych mas, które nieraz sprawiają na stacjach kolejowych zamęt i przeszkodę w wyprawianiu pociągów o normalnym czasie. Późno do tej roboty przystępujemy, lepiej przecież późno, aniżeli wcale.

*

Warszawskie Towarzystwo Opieki nad wychodźcami bardzo mało może uczynić dla uzdrowienia tego ruchu i dla przyczynienia się do tej roboty.

Wytlómaczył nam to p. Znaniecki, znakomity filozof nasz, który pracuje w biurze tego Towarzystwa, ponieważ nie mamy i nie możemy doczekać się w Warszawie polskiego uniwersytetu, gdzie by było właściwe jego miejsce.

— Ustawa wiąże nam ręce i nogi, — mówił nam. — Możemy zajmować się tylko naszymi członkami, nie zaś każdym, kto potrzebuje naszej opieki, a członkiem naszym jest ten, kto wnosi składki rocznej rubli — sześć. Niema więc co i myśleć o tem, abyśmy mogli wziąć w rękę te tysiące wychodźców na roboty polne do Niemiec i zapewnić im opiekę, dobre traktowanie, dobre warunki pracy. Robi to w jakiejś mierze Płockie Towarzystwo Robotników Rolnych. Ono ma prawo włączać w swe kadry członków, opłacających tylko 30 kop. rocznej składki. Ono może zbliżyć się do ludu i dobrodziejstwa mu wyświadczać. My — nie. Jednakże robimy, oczywiście, co się da zrobić w granicach wiążącej nas ustawy. Powstało właśnie w Poznaniu Towarzystwo Opieki nad wychodźcami i wydało odezwę do nich. Myśmy tę odezwę przedrukowali w wielkiej ilości egzemplarzy i rozesłaliśmy ją księżom naszym. Trochę późno nam ją przysłało, ponieważ ruch wychodźczy już się rozpoczął, a część robotników już wywędrowała. Ale ponieważ nasi wychodźcy korespondują ze swymi proboszczami, więc nie można wątpić, że nawet i ci, co już wyszli, dowiedzą się, że istnieje tam, gdzie robota na nich czeka, uczciwa organizacya, ich dobro jedynie mająca na celu. W każdym razie, początek jest zrobiony. Nasz chłopak zaś zbyt troskliwie myślał o swych interesach, aby w jakimś krótkim, jak mniemam, czasie, nie ocenił należyście takiej bezinteresownej pomocy i aby tłumnie korzystać z niej nie począł.

A taka organizacya jakże była pilna!

— Istnieje w Berlinie urzędowe pośrednictwo w pracy rolnej, tak zwana *Arbeitsfeldcentralstelle*. Usiłuje ona zorganizować i zawładnąć ruchem wychodźczym, do czego iść musi, zwalczając prywatnych agentów, dotychczas dość mocno pilnujących swoich interesów. Ponieważ ona pobiera zapłatę od robotnika za swe pośrednictwo, ma więc kolosalne

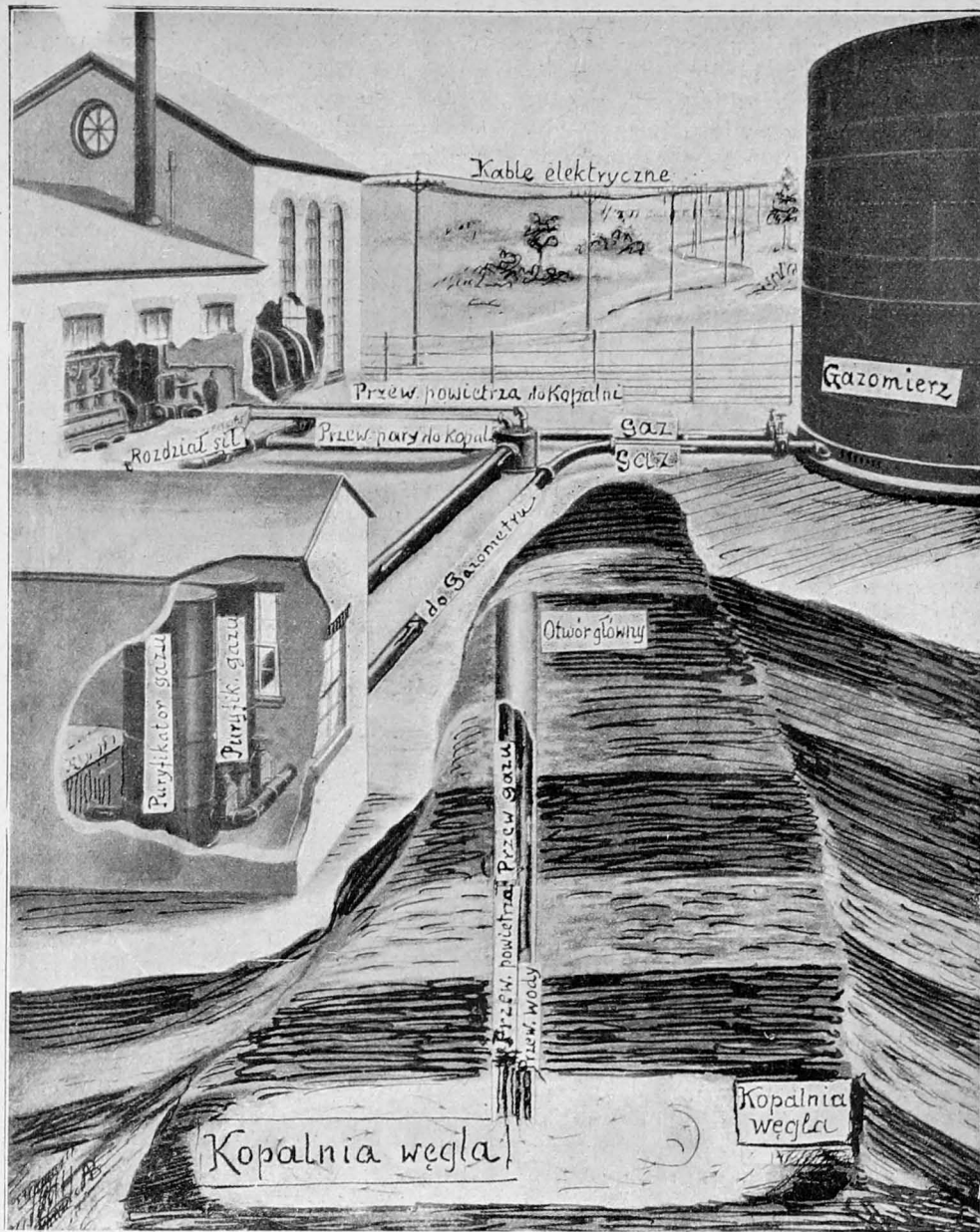
środki, zwiększone jeszcze subsydyjami rządowymi. Dąży ona do monopolu. A, oczywiście, nie na to, aby polski robotnik miał lepsze warunki życia i pracy w Niemczech. Idzie jej o interesy właściciela-niemca, o interesy rolnictwa niemieckiego. W tych interesach leży pracę jak najtańszą. Zdołała ona już obniżyć nieco pracę rolną polskiego wychodźcy. Co jest zaś najniebezpieczniejszym, to, że ta instytucja organizuje w naszym kraju tajemne, dobrze maskowane agencje, których już jest trzy: w Warszawie, Kaliszu i Kielcach. Znamy dobrze te firmy, noszące niewinne tytuły, będące jednakże na żołądź tej berlińskiej centrali. Uważamy ich działalność za szkodliwą i nieobywatelską. I kto wie, czy nawet nie szkodliwszą od działalności agentów prywatnych, ponieważ ci ostatni nie są zorganizowani i dbają o własny tylko zysk. Ich drapieżność można w ten czy inny sposób zwalczać. Z instytucją urzędową, monopolizującą pracę naszego wychodźcy, walka będzie o wiele trudniejsza, ponieważ i środki i cele ma ona wyższe. *Demil.*

Ramsay'a sny o przyszłości.

I powieściopisarze, i uczeni marzą niejednokrotnie o przyszłości, o nowych wynalazkach, o nowych potężnych źródłach siły, o olbrzymich przemianach, jakie rozwój techniki sprowadzi w obrazie świata i życia ludzkiego. Lecz w marzeniach tych istnieje zasadnicza różnica; sny powieściopisarzy o przyszłości sprawdzają się bardzo rzadko, sny uczonych bardzo często. Bo marzenia uczonych nie są nawet w swej istocie fantazja, lecz raczej przewidywaniem, opartem na ścisłych danych naukowych.

Jedno z takich przewidywań ogłosił niedawno światu najznakomitszy chemik współczesny, sir William Ramsay. Pociąg powiada Ramsay — mamy nakładem niesłychanej pracy i kosztów wydobywać węgiel z łona ziemi, przewozić go na ogromne odległości, zaśmiecać i brudzić fabryki i domy mieszkalne? Czyż nie lepiej spalić go wprost w łonie ziemi, przetworzyć na gaz świetlny, wydobyć rurami nazewnątr, oczyścić, użyć część do oświetlania i innych celów przemysłowych, a z pomocą reszty gazu wprowadzić w ruch olbrzymie maszyny, wytwarzające elektryczność, która łatwo już można przesłać na dalekie odległości, dostarczając ludzkości potężnej energii do wszelkich celów.

Jakież korzyści dałoby urzeczywistnienie tego projektu? Ramsay zestawia je bardzo ściśle i cyfrowo: Siła elektryczna dla kolei i przemysłu kosztowałaby nieć, a może i dziesięć razy mniej, aniżeli obecnie. Na kolejach, w fabrykach, w domach prywatnych energia elektryczna wyparłaby zupełnie opał węglowy i oświetlenie gazowe. Spalając węgiel wprost w pokładach, osiągnięto by największą oszczędność materiału, dzięki czemu eksploatacja kopalń mogłaby trwać jeszcze niesłychanie długo, zniknęłyby obawy wyczerpania się pokładów węglowych. Wreszcie zaoszczędzono by olbrzymią ilość ludzkiej siły roboczej; niewielu me-



Kopalnia węgla w przyszłości bez szybów i bez górników.

chaników i maszynistów zajęło by miejsce tysięcy i dziesiątków tysięcy górników węglowych.

Lecz czy urzeczywistnienie niezwykłego projektu jest możliwe? Powieściopisarz wypisywałby na ten temat całe traktaty fantastyczne. Ramsay jest uczonym, więc odpowiada krótko: Teoretycznie nie widzę żadnej przeszkody; co do zastosowania praktycznego odpowiem niebawem, po przeprowadzeniu próby.

Szczęście sprzyjało wielkiemu chemikowi; znalazł właściciela kopalni, który zgodził się na przeprowadzenie próby i podpalenie pokładów węglowych wewnątrz ziemi. Ramsay wybiera umyślnie prawie bezwartościowy pokład, leżący tuż pod powierzchnią ziemi. Najpierw wywiercony będzie otwór o półmetrowej średnicy — kopanie kosztownych szybów jest przy tym systemie zupełnie zbędne — w otwór ten wejdą rury: jedna, służąca do pompowania wody zaskórnej, druga do doprowadzania powietrza do płonącego pokładu, trzecia do wydobywania wytworzonych gazów węglowych. Zapalenie pokładu odbywać się będzie przy pomocy iskry elektrycznej. Oczywiście gaz albo będzie użyty w tej formie, albo posłuży do wytwarzania energii elektrycznej.

Ramsay twierdzi, że z pomocą tej metody uda się wykorzystać nawet najmniej wartościowe pokłady. Metoda nie grozi żadnym zgoła niebezpieczeństwem,

co najwięcej powierzchnia ziemi nad wypalonymi pokładami może się powoli nieco osunąć.

Nie wiadomo, oczywiście, jeszcze, jakie będą wyniki praktycznej próby, do przeprowadzenia której przystępuje uczonej w najbliższej przyszłości. Nie można natomiast wątpić, że, jeżeli uda się urzeczywistnić projekt, to sprowadzi to zupełny przewrót w dziedzinie przemysłu i komunikacji. Ludzkość pozyska w ten sposób olbrzymie zasoby taniej energii elektrycznej do poruszania machin, ogrzewania i oświetlania. *St. I.*

Francja zbroi się.

Stanowczo coś zmieniło się we Francji. Był czas, kiedy trzeba było Deroulé'owi formować ligę, aby zebrać wokół siebie tych, którzy przyznawali się do francuskiego patriotyzmu. Osłabiano systematycznie obronę krajową, jakieś niepewne internacjonalne hasła stawały się dogmatami wiary republikańskiej. — Francja odwracała się od swych tradycji, od miłości ziemi rodzinnej, ośmieszanej, jako szczątki czczego romantyzmu.

Dzisiaj dzieje się inaczej: ów podmuch patriotyczny, który Agathon zaznaczył w swej pracy o młodzieży francuskiej, ów nowy a silny narodowy na-

strój ogarnia wszystkie sfery. Najlepszym dowodem jest nowe prawo o trzyletniej służbie wojskowej. W danej chwili Francja musi stanąć wobec Niemców w pozycji obronnej, a tak mocnej, aby z tamtej strony Renu nie marzono o przekroczeniu granicy.

Przy prawie o dwuletniej służbie wojskowej Francja mogła rozporządzać tylko 592000 żołnierzy, przy służbie trzyletniej liczba ta wzrasta do 720000 żołnierzy, podczas gdy Niemcy wystawić mogą 710000 żołnierzy. Ale wchodzi w grę kwestya sojuszków. Gdyby Anglia, Francja i Rosja musiały rzucić się w ogień walki, rozporządzałyby 2037000 żołnierzy, podczas gdy Austria, Włochy i Niemcy dałyby tylko 1405000 żołnierzy. Olbrzymie sumy są przeznaczone na wojenne cele: trzy pierwsze państwa mają zbiorowy budżet wojenny obliczony na 3.596.786.396 franków, podczas gdy Potrójne Przymierze rozporządza sumą 3.882.841.250 franków.

Rzecz prosta, że znalezienie tych funduszy, coraz większych, pociąga podniesienie anormalne wydatków. We Francji złożono projekt Izby o otakowaniu dochodów prywatnych, przyczem dochody wyższe nad 60000 franków rocznie będą opodatkowane na 3% rocznie. Jeżeli małżeństwo, mające powyższy dochód, jest bezdzietnem, będzie płacić zdwojoną takse. Sądzę wszelako, że owa formuła podatkowa nie przejdzie. Partya radykalna i może socjaliści będą ją popierali, ale większość Izby odrzuci zapewne ten projekt.

W każdym jednak razie, Francja znajdzie pieniądze, potrzebne na uzbrojenia. Co zaś będzie w Niemczech, niewiadomo. Pisma tutejsze zaznaczają, że mowy cesarza Wilhelma i ów entuzjastyczny poryw ku nowym, olbrzymim uzbrojeniom wywołał zniżkę na giełdach wszystkich walorów, w których zaangażowane są niemieckie kapitały. W Berlinie była prawie panika. Brak złota w Niemczech pogarsza jeszcze finansową sytuację. Zresztą, nielepiej dzieje się we Włoszech, wycieńczonych Trypolitańską wojną, zarówno jak w Austrii, której mobilizacja cokolwiek za drogo kosztuje. Według obliczeń, podatek dochodowy nadzwyczajny w Niemczech będzie iście „kolosalny“.

Cesarz płacić będzie osobiście 7 i pół miliona franków rocznie, Krup, którego fortuna wynosiła zgórą 375 milionów, aż 16 milionów podatku rocznie. Książę Henckel von Donnersmarck będzie musiał poświęcić rocznie 15 milionów. Zato następca tronu niemieckiego płacić będzie tylko 277500 franków, a książę Henryk Pruski 120.000 franków. Książęta Rzeszy Niemieckiej zapłacą kontrybucyę od 2 milionów: do 75000 franków.

Jedno z pism paryskich pisze, że jest nader romantycznym wygłaszać mowy w rodzaju ostatnio wypowiedzianej przez cesarza Wilhelma, jest może zrezygnować starać się przestraszyć sąsiadów, drukując takie artykuły, jak drukuje od pewnego czasu „Kölnische Zeitung“, ale ów upust krwi, jaki uczyni nowy podatek, może wycieńczyć doostatka Niemcy.

Stany Zjednoczone zamykają swe kasy przed niemieckimi propozycjami i, kto wie, czy raz jeszcze ów wielki ruch wojenny skończy się na niczem, na ciężkim obciążeniu narodu, który przez patriotyzm da swe ostatnie zasoby, ale popasę może w wielką ekonomiczną rozterkę.

Francja zaś, bankier Europy, znajdzie zawsze w swym *bas de laine*, w o-

szczędnościach ludu dosyć pieniędzy aby obronę kraju na należytej stopie postawić. I strachy niemieckie, groźne marszczenie brwi Wilhelma nie przeraża tu zbytnio nikogo.

Paryż.

K. D.-S.

Thureau Danguin.

Przed kilku dniami zmarł historyk francuski, członek Akademii, Paweł Thureau-Danguin. Był on stałym sekretarzem Akademii. Cichy pracownik, Thureau-Danguin był mało znanym w szerokiej publiczności.



Thureau Danguin.

Widywano go za stołem biura Akademii w czasie wielkich posiedzeń publicznych, a ci wszyscy, którzy szukali wśród zielonych mundurów haftowanych: Prevost'a, Donnay'a, Claretie'go, Bourget'a, Richepin'a, Faguet'a, Rostand'a albo Loti'ego, nie zatrzymywali nawet wzroku na wysokim, szczupłym, zawiądanym historyku, znanym tylko specjalistom. Zmarły zostawił wszelako poważną ilość dzieł, wśród których najdonioślejsze: „Historia monarchii lipcowej“, w siedmiu tomach, jest owocem dziesięcioletniej pracy. Napisał prócz tego studia o „Piusie IX“, „Paryż stolicą podczas Rewolucyi Francuskiej“ i t. d. Nas najbliższej obchodzi dobra, źródłowa, poważnie komentowana praca Thureau Danguin'a: „La Pologne et les traités de Vienne“ („Polska i traktaty wiedeńskie“). Katolik i monarchista, należał do prawnicy w Akademii, patrzył na życie przez swe ideały, a, zatopiony w pracy, zdawał się nie rozumieć tych walk i tych ewolucyi, które wrzały około niego.



10-lecie szkoły farmaceutycznej w Petersburgu.

Sympatyczną a ze wszechmiar zasłużoną uroczystość 10-lecia założenia pierwszej, dotąd jedynej w całym państwie, Szkoły Farmaceutycznej, zgotowała jej założycielce, a rodaczce naszej, pani Antoninie Leśniewskiej, mag. farmacyi.

Szkoła powstała przy „Aptece Żeńskiej“, będącej również własnością pani L. Dzięki obszernemu programowi, Szkoła postawiona została narówni z niedostępnymi dotąd, jak wiadomo, dla kobiet, kursami uniwersyteckimi, dając kwalifikacyę na stopień prowizora.

Program Szkoły obejmuje wykłady chemii ogólnej i farmakologii, fizyki, botaniki, zoologii, geologii, wraz z mineralogią, anatomią i fizyologią, higieną, farmakognozą, oraz z organiterapią i seroterapią, nadto sposób podawania pierwszej pomocy.

W ciągu dziesięciolecia do szkoły wstąpiło 387 uczenic; z tych ukończyło szkołę 199, w tej liczbie 22 polki, 6 niemek, 6 żydówek, 4 bułgarki, 2 estonki i 157 rosyjanek. Znamiennem jest, że po 10-ciu latach w r. b. wzrosła liczba polek do 10.



Praktyczne zajęcia w szkole A Leśniewskiej.

Z wiadomości, jakie szkoła posiada o byłych uczenicach, tylko 4 z nich porzuciły zawód,



Antonina Leśniewska.

4 przeszły po skończeniu szkoły na medycynę, 8 pracuje naukowo w chemii i bakteriologii, a z nich 2 już napisały rozprawy naukowe, 3 pracują, jako asystentki profesorów w szkole farmaceutycznej, 2 mają własne apteki, 1 skład apteczny, 6 zarządza aptekami, nawet jedna kolonijną apteką za granicą.

Zarządzające aptekami pobierają miesięcznie od 100—150 rb., a w ziemskich aptekach—prócz pensyi i mieszkania. Pomocnice aptekarskie pobierają od 50—75 rb. mies.

Dn. 19 (6) lutego r. b., w dziesiątą rocznicę otwarcia szkoły, pośpieszyli wyrazić założycielce swe wielkie uznanie wybitni profesorowie, lekarze, stowarzyszenia kobiece i szeregi dawnych i obecnych uczenic szkoły, niosąc w darze miłe pamiątki: mikroskop, srebrną wazę, adres w pięknej oprawie i moc kwiecica.

Wśród wielu przemówień profesorów i delegowanych z różnych kursów, wyróżniły się słowa b. uczeni z najpierwszego kursu. W gorących, prostych wyrazach skreśliła mówczyni zasługi założycielki, jej starania, aby kobietom dać możliwość korzystnej dla ogółu i dla nich pracy i stworzyć dla nich sposobność i źródło dla wywalczenia samostojnego w społeczeństwie stanowiska, wyrażając przytem głęboką wdzięczność za serdeczny trud, w dobrej i zacnej sprawie podjęty. Wdzięczność tę zachowały wszystkie uczennice szkoły, i te, które obecnie w niej przebywają, i te, które zdala już od instytucyi i jej zacnej kierowniczkii pracują.

Poważny, serdeczny a uroczysty ton przemówień na uroczystości szkolnej był jasnym promieniem na drodze znoonej i trudnej pracy założycielki i kierowniczkii Szkoły Farmaceutycznej. B.



Znane i w całej Galicji ogromną sympatją darzone stowarz. śpiewacze „Echo” we Lwowie obchodziło 25-lecie swego istnienia.

Z teatrów warszawskich.

TEATR ROZMAITOŚCI. „Topiel”, dramat w 3-ach aktach S. Przybyszewskiego.

Znów jedna melodia więcej, grana zawsze na jedną i tę samą nutę. Znów dramat miłosny, nietylko smutny, ale tak przynębiający i przykry, że gdyby to najpiękniejsze z uczuć, będące od wieków, od zarania ludzkości, symbolem wiecznie się odświeżającej i wiecznie młodej wiosny, miało w rzeczywistości tak wyglądać, to rodzaj ludzki musiałby wyginać w drugim najdalej pokoleniu. Więc i „Topiel” jest znów powtórzeniem



Stan. Przybyszewski.

znanej pieśni o rozpaczonym Erosie, odegranej raz jeszcze przez kwartet ponurych cieniów, którym autor, dla zakrycia ich bezcielesności, kazał się przybrać w strojenajnowszego fasonu. Nietylko motyw znany i treść podobna, ale i technika sztuki obmyślana wedle niezmiennego przepisu. Dzięki temu, ile razy w teatrze Przybyszewskiego ujrzymy na scenie kochającą się parę, czy to męża i żonę, czy kochanków, czy narzeczonych, można być zgóry przygotowanym, że niebawem, w tej lub innej formie, ukaże się druga para — i będzie nieszczęście. Przepis tragiczny na inscenizowanie tego nie-

szczęścia przypomina komedię z kotyłona: *chassez-croisez!*...

Aż do połowy 2-go aktu trzyma nas autor siłą swego talentu pod wrażeniem jakiejś grozy miłosnej, działającej suggestywnie. Pomimo nie-domówień, pomimo rodzących się już nienewności, odczuwamy wpływ „nastroju”, którego Przybyszewski jest tak niezrównanym mistrzem. Nawet sytuacja zdaje się nieco odmienna od dawniejszych.

Znajdujemy się w parku przed jasno oświetlonym dworkiem wiejskim. W środku wre ochocza zabawa i tańce. Na werandzie ukazuje się młoda dziewczyna, Ludmiła. A z nią równocześnie dorodny młodzieniec, Robert Skalski. Młodzi się kochają. On jej miłość oświadcza w słowach tak pięknych i gorących, że zapewne są i szczerze. Nie wiemy wprawdzie, dlaczego rozmiłowana panna tak się waha, tak cierpi, tak się czegoś boi. Bo ona już jest smutna, chociaż jeszcze nie wie, że on był kochankiem jej ciotki i opiekunki zarazem, temniej domyślać się może, że i ona, Ludmiła, jest przedmiotem miłości męża tej ciotki, który, kształcąc jej duszę, rozgorzał do niej uczuciem, bezwiednym wprawdzie z początku, ale beznadziejnie głębokim. Również przewidzieć trudno, że ten kochający i ukochany człowiek, którym już *dziś* wszyscy gardzą, popełnić ma *jutro*, po ślubie, takie mnóstwo bezceństw. O tem wszystkim wie dopiero sam tylko autor.

Ale nie zważajmy na te drobnostki. Wiemy z doświadczenia, że twórca „Złotego runa”, „Śniegu” — nie mówiąc o innych, posiada wyjątkowe przywileje co do wymiarów miejsca i czasu, co do przewagi nastroju nad logiką faktów, obowiązującą tylko fi-

listrów, nawet co do żądań tak poziomych, jak np., aby skutki wypływały z przyczyn, nie przeciwnie...

Zresztą, dopóki, obok miłości, wchodzi na scenę tylko zazdrość porzuconej kobiety, sytuacja sama przedstawia się dość jasno. Zrozumiała jest rozpacz odepchniętej, spotęgowana myślą, że ten, którego niedawno była własnością, poślubi jej ukochaną siostrzenicę, wychowankę, córkę przybraną. Myśl — tem straszniejsza, iż ona go jeszcze kocha całą siłą... I aż dotąd gra artystów jest także bez zarzutu. P. Fedorowiczowa odnalazła cały swój wdzięk, i ciepło, i liryzm, przypominając najświetniejsze momenty, jakie pamiętamy ze „Złotego runa”. A, obok tego, była siła i prawda uczucia. Talent p. Tekli Trapszo w roli młodzianki, niewinnej i aż do samego końca niczego się niedomyślającej Ludmiły, góruje stanowczo nad wszystkimi trudnościami i nieprawdopodobieństwami. P. Janusz, jako Skalski, ucieleśnia bardzo dobrze niebezpieczną potęgę uczucia, „topiel”, ciągnącą w swe odmęty, jak Świtezianka, w której jednak nie myśliwiec ginie romantyczny, lecz oczarowane świtezianki... Tylko z samego już początku niewiadomo, co na tem tle robi enigmatyczny hrabia Jelski, w jakim celu, nie będąc idyotą, udaje idyotę, dlaczego miesza się w rzecz, w niczem się do istotnej akcji nie przyczyniając, dlaczego ginie z ręki bohatera — o czem wprawdzie dowiadujemy się dopiero z opowiadania w akcie trzecim. Tylko wybornej grze p. Owerły zawdzięcza ten dziwny wytwór, że nie stał się przykrą karykaturą...

Ale z chwilą, kiedy nawet wuj Władysław przekonał się, podczas

oświadczenia się Skalskiego o rękę Ludmiły, że i jemu kazano się w niej kochać — choć tylko „dalszą kontynuacją miłości do żony“, z chwilą, kiedy mu żona czyni równie straszne, jak nie umotywowane głębiej wyznanie, że Skalski był jej kochankiem, kiedy Ludmiła oświadcza, że: już od wczoraj jest „żoną“ Skalskiego — wszystko się psuje, pęka czar piękna, pod jakim, mimo wszystko, trzymać nas umiał Przybyszewski, następuje — akt trzeci, wprost straszny. Znajdujemy się nagle w Paryżu, ale w Paryżu tak dziwnym i nieprawdopodobnym, jakby wykrojonym z jakiejś bardzo smutnej farsy. Skalski kocha się w kokocie, udającej hrabinę. Jej otoczenie tańczy naprzemian kankana, lub śpiewa pieśni czeskie i polskie. Skalski, straciwszy posąg żony, dla którego, jak teraz dopiero się dowiadujemy, z nią się ożenił, snuje projekty jakichś ciemnych przedsięwzięć. Aby się pozbyć żony, namawia ją, by została aktorką. Ludmiła ciągle nic nie wie. To główny rys jej charakteru. Więc Skalski obmyśla straszny finał i mówi jej wręcz: „Byłem kochankiem twej ciotki, a twój wuj w tobie się kocha!“... Wyznanie działa, jak grom, skutkiem czego Ludmiła wyskakuje przez okno... Koniec.

Dramat zostaje doprowadzony do takiej sztuczności, że skok tragiczny nie czyni już żadnego efektu. Przypominamy sobie tylko, że forma jedynie samobójstwa bohaterki „Topieli“ różni ją od jej duchowych poprzedniczek. Zresztą jest znów to samo.

Ale pozostajemy pod przygniatającym wrażeniem pogromu, zaniku i niemocy wszelkiej prawdy, zamordowanej przez piękną z początku, potworną w końcu, a zawsze bezkrwistą fikcyę. Topiel... A. B.

Z teatru krakowskiego.

„Lawina“, sztuka w 3 aktach Henryka Korab-Kucharskiego.

W „Lawinie“ dał poznać się Krakowowi nowy i prawdopodobnie najmłodszy wśród polskich pisarzy scenicznych, p. Henryk Korab-Kucharski, półwarszawiak, półparyżanin. Debiut autorski p. Kucharskiego nie wypadł źle, jeśli zważy się zwłaszcza, że przed zaciekawioną publicznością stanął autor istotnie fenomenalnie młody, który samą swą niemal chłopięcą postacią wzbudzić musiał w widowni małą sensacyę. Sztu-



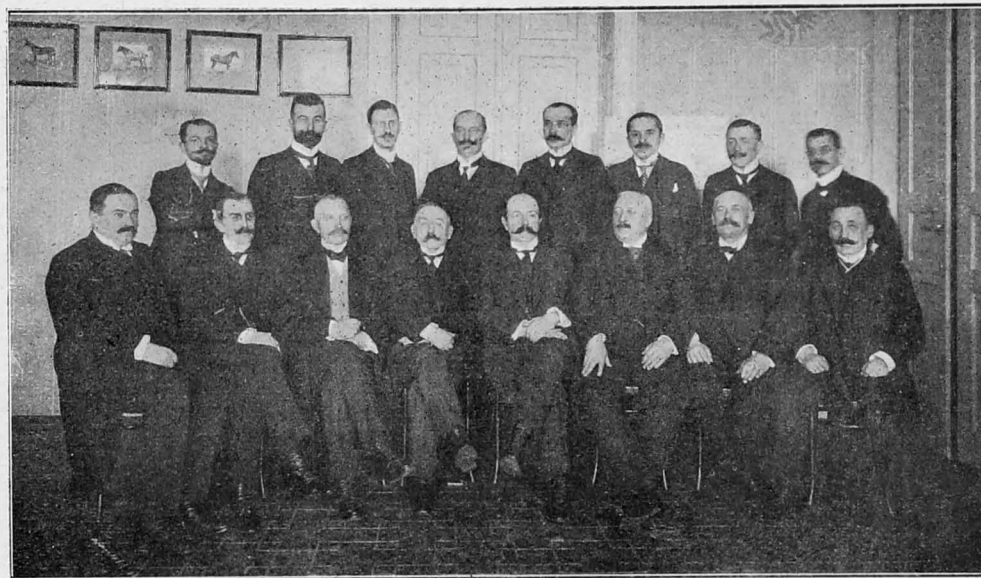
H. Korab-Kucharski.

ka nowych dreszczy nie przyniosła. Stwierdzenie tego nie oznacza bynajmniej zarzutu, raz dlatego, że wywołanie takich dreszczy należy do zadań coraz to trudniejszych, powtóre zaś, że, zdaje się, nie są one wogóle niezbędnym warunkiem twórczości poetyckiej. P. Kucharski opowiada nam dzieje smętne a znane. Lawina — to zbudzone, jak w tym wypadku, zbyt późno, uczucie miłosne, które, rwąc naprzód, druzgocze ludzi i rzeczy. Konwencyjonalne małżeństwo — to ramy dramatu. Słuchaliśmy tych dziejów już tyle razy, będziemy ich słuchać jeszcze długo, i zapewne nigdy nie zbraknie im chętnych słuchaczy, o ile tylko natura nie poskąpi opowiadaczom przypraw talentu. Młody autor „Lawiny“ nie należy w tej mierze do pokrzywdzonych. Akt pierwszy swej trzyaktowej sztuki umiał zarysować tak interesująco i postawić mocno, że wyglądały z niego niemal pazury lwiatka. Odtąd szła rzecz już de-

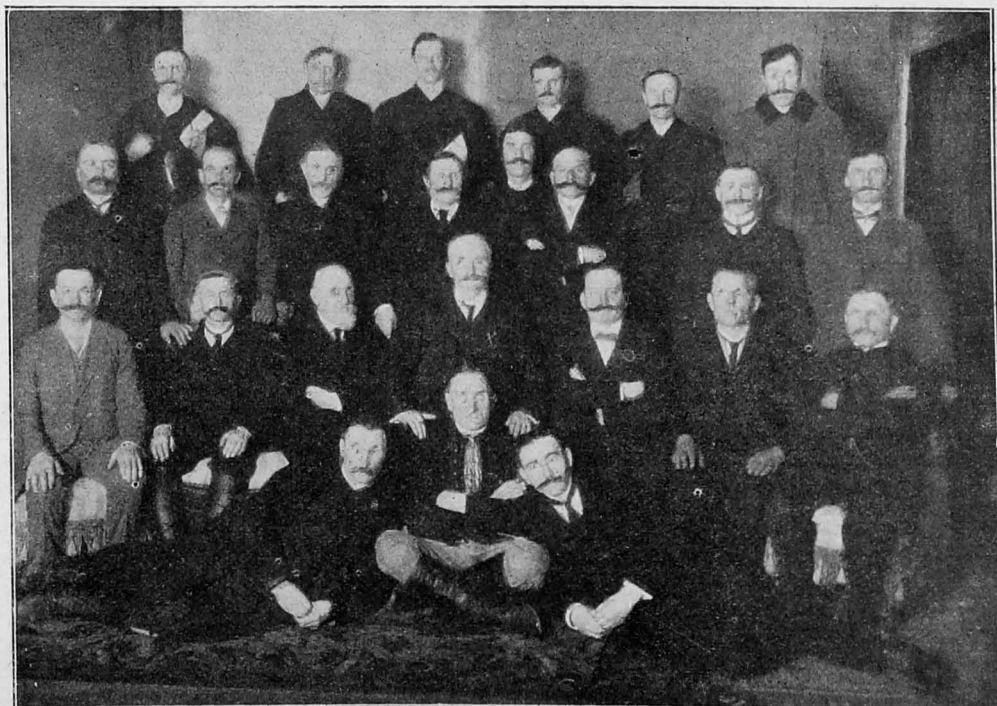
crescendo. Akt drugi zniżył znacznie lot, akt trzeci zgoła zawiódł. Lecz były to niedociągnięcia i niedopowiedzenia — talentu, o którym wyniosło się z tego pierwszego wieczoru wrażenie, że będzie mógł nieraz jeszcze wypowiedzieć się w sposób doskonalszy i, może, skończenie doskonały. Tymczasem już debiut dzisiejszy stworzył niezwykle ponętne pole dla gry aktorskiej w głównej postaci niewieściej, i pole to znakomicie wypełniła pani Mrozowska swą interpretacyą, bogatą w akcenty głęboko ludzkie. Ch.

Z Tow. Roln. w Król. Polskiem.

Oddział handlowy przy Towarz. Rolniczem w Piotrkowie wybudował w roku ubiegłym wspaniały gmach dla pomieszczenia swoich biur i magazynów. Gmach ten posiada własną stacyę elektryczną o sile 25 koni, ogrzewanie centralne, kanalizacyę i t. d. Poświęcenie odbyło się w dniu 29 grudnia 1912 przy licznych udziale ziemian piotrkowskich.



Rada Piotrkowskiego Tow. Roln. w nowym swym gmachu.



Delegaci kółek z okręgu Częstochowskiego z prezesem Częstochowskiego Tow. Roln. szambelanem Łeckim (x), i redaktorem „Głosu ludu“, p. Janem Siecińskim (o) na czele.



Kurs higieniczny w Poznaniu.

Uczestnicy tegorocznego kursu higienicznego w Poznaniu.

Towarzystwo higieniczne w Poznaniu, będące pod zarządem lekarzy dr. dr. Fr. Chłapowskiego, A. Karwowskiego i P. Gantkowskiego, urządza co dwa lata kurs dla pań i panien, które zajmują się pielęgnowaniem chorych w lazaretach miejskich i wiejskich. Tym razem zgłoszono przeszło 30 wykładów, w których dobrowolne samarytanki poznańskie licznie wzięły udział, zwłaszcza że prelekcje połączone były z praktycznymi ćwiczeniami w szpitalach i obrazami świetlnymi. Na zakończenie fotografowano się w dziedzińcu Muzeum Mielżyńskich przed pomnikiem Mickiewicza.

Epilog tego pożytecznego dzieła, które z polityka najmniejszej nie ma łączności, jest, jak na Prusy, zwykły. Politycy wytoczyła proces inicjatorce kursów, p. Anieli Tułodzieckiej, i drowi P. Gantkowskiemu.

Katastrofa na drodze żel. W.-W.

Znowu katastrofa na kolei Wiedeńskiej! Ileż już ich było pod nowym zarządem i przy nowym systemie oszczędnościowym. Tym razem przerwał się zbyt widocznie ciężki pociąg towarowy pod Radomskiem. Puszczono na obojętne resztki, nie zauważywszy ich, pociąg świąteczny osobowy w ciemną noc. Maszynista spostrzegł zapóźno stojącą na drodze przeszkodę. Nastąpiło zderzenie. Wagony zdruzgotane, lokomotywa rozbita, komunikacja przerwana; ale, co gorsza: cztery ofiary ludzkie. Smarownik zabity, maszynista, jego pomocnik i konduktor ranni.



Krawiec Damski St. Strzemecki

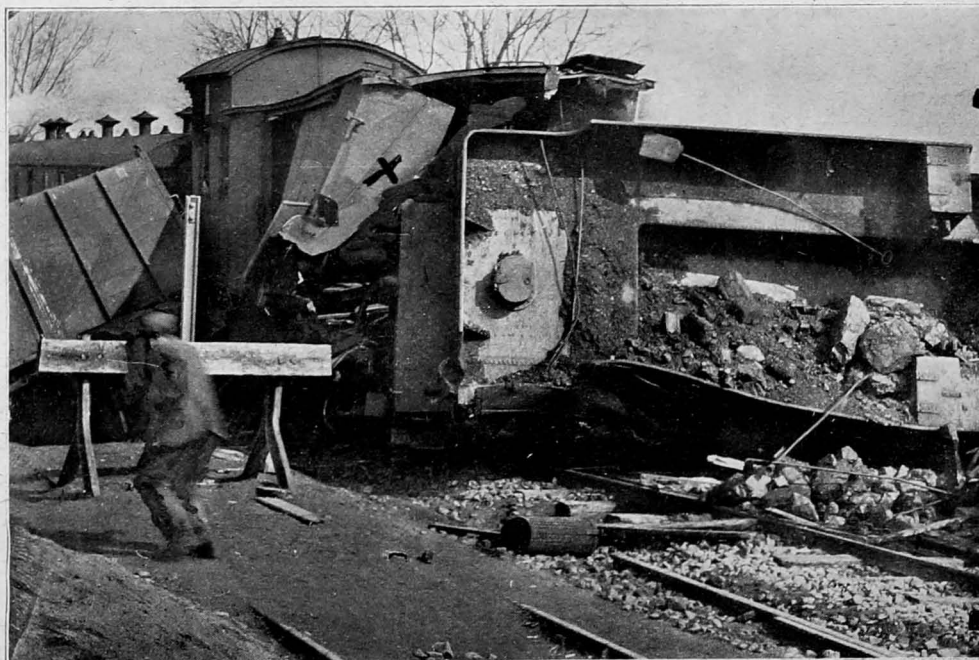
Marszałkowska 123. Tel. 19-68.
Na sezon wiosenny: KOSTYUMY, PALTA i t. p.
Ostatnia moda. Wielki wybór materiałów krajowych i zagranicznych.

Święcone w Warsz. Tow. Dobroczynności.



Fot. Maryana Fuksa. Przed gmachem Tow. Dobr., w którym rozdano biednym 2000 porcy.

Katastrofa pod Nowo-Radomskiem.



Fot. Maryana Fuksa.

Zawalona linia zdruzgotanymi wagonami.



Grupa starszych „sybiraków”, przebywających obecnie w Tiumeniu — uczestników wypadków 63 roku. (Od lewej do prawej): pp. A. Boczkowski (85 lat), Józef Karnacewicz (73 lat), ks. Franc. Budrys (proboszcz miejscowy), Feliks Szuniewicz (73 lat), Franc. Szuniewicz (71 lat), Malinowski (77 lat).

Najważniejsze wypadki minionego tygodnia.

SPRAWY POLITYCZNE.

Najważniejszy fakt tygodnia: targ Austrii z Czarnogórzem z powodu nawracania na prawosławie albańczyków-katolików — kolbami.

Ksiądz Palić, franciszkanin, został zamordowany przez czarnogórców, ponieważ nie chciał zmienić wyznania.

Austria zażądała prawa przeprowadzenia śledztwa w sprawie ks. Palić'a przez swego konsula. Czarnogórze odmówiło. Austria nadesłała notę powtórną, po której ma nastąpić ultimatum.

Mocarstwa doradzają Czarnogórzowi umiarkowanie i przyzwoitość. Nie będą interweniować w razie zawikłań na tem tle.

Turcy zgadzają się na pokój wedle propozycji, opracowanych przez konferencję mocarstw w Londynie.

Gabinet Brianda obalony przez senat. Szło o reformę wyborczą. Parlament już przyjął przedstawicielstwo mniejszości, senat nie chciał.

Barthou podjął się uformowania nowego gabinetu; powołał doń członków skrajniejszych, niż byli poprzedni ministrowie.

Obecny rząd turecki wisi na włosku. Ciągłe przeciwko niemu spiski. Ostatnio zaarrestowano stu oficerów.

Rewolucya w Kurdystanie. Ogłoszono niezależność tego kraju od tureckiego panowania.

Z NAD NEWY.

Wybór Jagielly zatwierdzony przez Dumę większością głosów. Ta sama wię-

kszość uznała wybory za... nieprawidłowe. Vivat konsekwencya!

Część nacyonalistów odłączyła się od partji, aby wejść do Centrum, zdolnego do prawodawczej pracy.

Prawica chciała — zniesienia Dumy. Nawrócili ją na lepszą drogę pravicowi chłopci, którzy zagrozili opuszczeniem partji.

Duma odrzuciła projekt podatku, pobieranego od tych, którzy w wojsku nie służy.

Minister spraw wewn. Makłakow zachwiany z powodu wywiadu ze współpracownikiem „Tempa”. Wymieniają na jego miejsce Durnowa, Stizinskiego a głównie Neudhardta.

Projekt nowego prawa prasowego, według którego pisma dostarczać trzeba do cenzury na trzy godziny przed wyjściem, skrytykowany ostro przez całą prasę, będzie przerobiony.

Przeciwko Kokowcowi prowadzą namiętą walkę pravicowcy. Dotychczas bez rezultatu.

Rosyjskie marki jubileuszowe będą zniesione po wyczerpaniu zapasów i zastąpione innemi, bez portretów Cesarzkich. Na żądanie synodu.

LITERATURA I SZTUKA.

O Ojcu świętym monografię pisze Teodor Wyzewa na zamówienie wielkiej firmy nakładowej londyńskiej.

Aмерыkańska opera: „Cyrano”; najznakomitszy z nowojorskich kapelmistrzów, Walter Damrosch, ją napisał. Ma powodzenie.

Najgłośniejszy z filozofów współczesnych, Bergson, wykladał cały sezon w uniwersytetach amerykańskich.

„Dziwna księżniczka”. Oto tytuł no-

wej operetki, do której libretto napisała była królowa saska, a muzykę były jej małżonek, Toselli.

Mirbeau napisał w młodości długi wiersz: „Jan Sobieski do polaków”. To go jednak zniechęciło do poezji nazawsze. Tak sam twierdzi... Były jednak pewno i inne przyczyny...

Wystawa entomologiczna, pierwsza w Warszawie, będzie urządzona w kwietniu. Pozwolenie uzyskano.

Krakowski Chór Akademicki da w Filharmonii warszawskiej dwa koncerty, poświęcone głównie polskiej pieśni zbiorowej.

POD ZABOREM PRUSKIM.

Już trzy majątki, zagarnięte przez wywłaszczenie, przeszły ostatecznie do rządu. Stała się więc rzecz — niezatarta.

Proces w Bytomiu, wytoczony członkom „Polskiego Zjednoczenia Narodowego”, skończył się skazaniem każdego na 30 marek kary.

NOWE PISMA.

Pismo polskie będzie wychodziło na Syberji, w Nowomikolajewsku. Życzymy powodzenia odważnemu wydawcy.

„Themis polska”, naukowy organ naszych prawników, kwartalnik pod redakcją p. Lutostańskiego, zaczął wychodzić. Jest to podjęcie dawnej tradycji.

„Niwa sandomierska” wychodzić znacznie wkrótce pod redakcją p. Witolda Kamockiego z Mokoszyca.

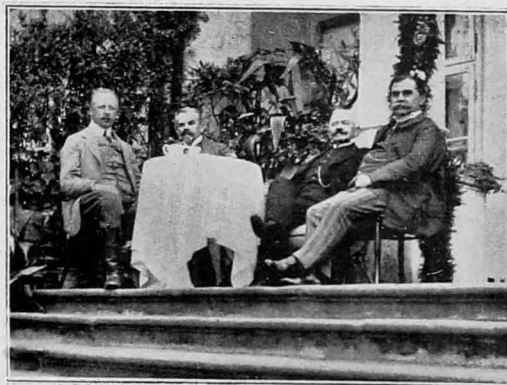
RÓŻNE.

Ogólny rok radości został ustanowiony przez Ojca Świętego na pamiątkę pokoju, jaki dał Konstantyn Wielki Kościołowi katolickiemu.

Perfidyę polaków dowodnie wykazuje „Nowoje Wremia”. Nie chcą oni grodu Gedymina nazywać: Wilna; upierają się przy nazwie: Wilno. Straszne!...

Katastrofy kolejowe ciągną się bez przerwy niemal na kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. W ostatniej, pod Radomskiem, cztery ofiary.

Napad bandycki na Świdniki.



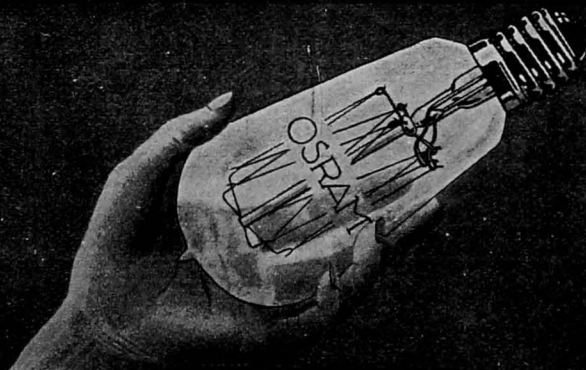
Na werendzie dworku w Świdnikach. — Pierwszy na prawo, zamordowany w sposób okrutny podczas napadu na dwór 17 b. m. ś. p. Jan Węgleński.

Lampka Osram

z drutu ciągnionego.

Niepękające

Oszczędność prądu 75%



Tylko napis „Osram”

gwarantuje za prawdziwość niepękających lampek „Osram” z włóknem z drutu ciągnionego i tylko ten gatunek cieszy się sławą światową.

Dostać można wszędzie.

Nowa Rada Miejska we Lwowie.



Prezes klubu centr., dr. Dwernicki.



Prezes klubu obywat., Głabiński.



Prezes klubu lud., dr. Mikołajski.



Prezydent, Józef Neuman.



Prezes klubu mieszc., Riedl.



I-szy wiceprez., dr. T. Rutowski.



II-gi wiceprezydent, dr. Stahl.



Prezes klubu katol., Souper.

W sprawie publikacji: „Akta rządu narodowego 1794 roku”.

Otrzymałmśmy następujący komunikat z prośbą o umieszczenie:

„Do będącej na ukończeniu i mającej ukazać się w r. b. trzymiesięcznej publikacji Akademii Umiejętności w Krakowie *Akta Rządu Narodowego 1794 r.* niżej podpisani wydawcy poszukują wizerunków następujących członków Rządu Narodowego, t. j. Rad: Zastępczej Tymczasowej i Najwyższej Narodowej: Aloë Elias, Billing Piotr, Buchowiecki Jan, Buczyński Daniel, Cichocki Jan August, Ciemniowski Andrzej, Deboli Augustyn, Dembowski Tadeusz, ks. Dmochowski Franciszek, Działyński Ksawery, Dziarkowski Józef, Dzeduszycki Antoni, Friebe Franciszek, Gautier Franciszek, Gutakowski Ludwik, Horain Jan, Horalik Wilhelm, Jaśkiewicz Jan, Kapostas Andrzej, Kiliński Jan, Kochanowski Michał, ks. Kołłątaj Hu-

go, Ledóchowski Stanisław, Linowski Aleksander, Makarowicz Franciszek, Małachowski Jan Nepomucen, Matuszewicz Tadeusz, Medeckie Krzysztof, Mokronowski Stanisław, Mostowski Tadeusz, Moczyński Joachim, Myszkowski Franciszek, Orłowski Józef, ks. Palmowski Sabba, Potocki Ignacy i Piotr, Prozor Karol, Radziwiłł Mikołaj, Rafałowicz Stanisław, Sierakowski Józef, Sulistrowski Alojzy, Szydłowski Szymon, Szymanowski Józef, Taszycki Gabriel, ks. Tomaszewski Mikołaj, Tykiel Antoni i Franciszek, Umiastowski Tomasz, Wasilewski Józef i Franciszek Ksawery, Wawrzecki Tomasz, Weysenhoff Józef, Węgierski Klemens, Wielowieyski Stanisław, Wosiłło Wawrzyniec, Wulfers Michał, Wybicki Józef, Zajączek Ignacy i Józef, Zakrzewski Ignacy. Pożądane są portrety z natury, możliwie zbliżone do daty 1794 r. Uprasza się o łaskawe nadesłanie bądź dokładnej wiadomości o rzeczonych portretach, bądź też dobrych zdjęć fotografi-

cznych, pod adresem: Szymon Askenazy, Warszawa, Włodzimierska 10, albo: Lwów, Uniwersytet.

9 marca, 1913 r.

Szymon Askenazy,
Włodzimierz Dzwonkowski”.

Stanisław Postępski,

nowomianowany dyrektor kancelaryi uniwersyteckiej we Lwowie.



Sarg'a KALODONT

Niezbędny **KREM i ELIKSIR do ZĘBÓW**
Utrzymuje zęby biało, czysto i zdrowo.
żądać wszędzie



Dobrze płacę, a tanio sprzedaję. Nabywam kwity lombardowe, brylanty, perły oraz inne drogocenne przedmioty, płacąc najlepiej. Odstępuję je z małym zyskiem, sprzedaję też tanio nową biżuterię i zegarki renomowanych fabryk. Wybór ogromny poleca **A. Duszke**, Marszałkowska 102. egzystujący od 1887 r. Magazyn Jubilerski Tel. 105-39.

KRAJOWA FABR. WYROBÓW TYTUNIOWYCH

Braci Polakiewicz

w Warszawie. Egz. od r. 1862

6293 Poleca PAPIEROSY

„Derby” . . . 10 szt. 10 kop.

„№ I” i „№ II” 10 „ 6 „

„Wiwat” . . . 10 „ 6 „

**1 SZY WARSZAWSKI ZAKŁAD
TECHNICZNO - DENTYSTYCZNY**

Marszałkowska 51. Tel. 283-62.

Zęby sztuczne wszelkich systemów. Od rb. 1 zęb. Korony. Przyjezdnym w ciągu dnia.

NADESZŁA ŚWIEŻAWODA

BORŻOM

WE WSZYSTKICH
APTEKACH
I SKŁADACH
APTECZNYCH
Duża but k 35

Łaskawym względem Szan. Publiczności polecamy

biedną wdowę, M. P.

której gwałtownie potrzebna jest suma rb. dziesięć dla opłacenia adwokata w sprawie nader dla niej doniosłej. Łaskawe ofiary pod „M. P.” przyjmuje administr. naszego pisma.

ŻAŁOBNA KARTA.

Ś. p. Bertold Lewy Taljański, inżynier i podróżnik, zmarł 17 b. m. w Warszawie, w 44 roku życia, po długich cierpieniach. Skończywszy gimnazjum w Warszawie, a politechnikę w Leodium, uczęszczał następnie do Szkoły Centralnej w Paryżu, a dla nabycia praktyki w swym zawodzie i przygotowania się do niego wszechstronnie, wstąpił tamże do odlewni stali Robert'a, jako prosty robotnik. Na tem stanowisku przeszedł wszystkie szczeble hierarchii technicznej. Kiedy rząd belgijski budował w r. 1889 pierwszą kolej żelazną w Kongo, powołany został do jej budowy, jako inżynier. Bardzo złe warunki klimatyczne w tej właśnie bagnistej części Afryki, ciężkie



warunki pracy w otoczeniu robotników murzynów, nie ostudziły w młodym inżynierze zapału do pracy, ale podkopały na

zawsze zdrowie. Wytrwał na stanowisku rok, t. j. maksymalny termin, jaki europejczyk znieść może. Następnie powrócił do kraju, biorąc tu czynny udział w stowarzyszeniach zawodowych. Był członkiem-protektorem Muzeum Roln. i Przem., jednym z inicjatorów Tow. fotograficznego, skwapliwie czynnym w kwestyi szkół dla rzemieślników, a owocem tej myśli była praca, wydana łącznie z inż. St. Kossuthem, p. t. „Szkoły rzemiosł budowlanych”.

Śmierć przedwczesna oderwała go od pożytecznej dla społeczeństwa pracy, w samym środku zadania, jakie sobie za cel życia postawił. N.

Ś.p. Leokadya z Kuroszów Maurycowa Boska.

Dnia 13 marca b. r. w majątku rodzinnym Lipa, gub. Radomskiej, rozstała się z tym światem, w 64 roku życia, ś.p. Leokadya z Kuroszów Maurycowa Boska.

Obdarzona niepospolitym umysłem, utalentowana, rozumna, interesująca się wszystkim do ostatnich dni życia.

Nie bacząc na wiek i zdrowie, z gorącym sercem i hojną dłońią, sama spieszyla wszędzie, gdzie ból i cierpienie.

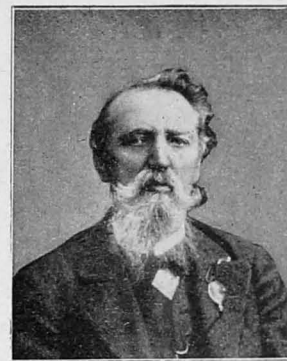
Zmarła pozostawiła w rozpaczny córki i syna, lecz nietylko dzieci osierociła.

Smutek i żal serdeczny tych wszstkich, którzy w sercu Jej i dobroci znajdowali nieprzebrane skarby współczucia, ukojenia, rady i pomocy, towarzyszą Jej odejściu.

Sercem żyła i na serce umarła.

Ś. p. Józef Pniewski,

Zmarł w Warszawie 13 b. m. w 70 roku życia. Urodzony w Łęczycy,



brat czynny udział w wypadkach z przed półwieku. Powróciwszy po kilkoletnim pobycie na Syberyi, osiadł na roli w Piotrkowskiem, gdzie odznaczył się wyjątkową czynnością w życiu obywatelskiem, przeważnie jako sekretarz Rady powiatowej z zapisu hr. Kickiego. Zmarł, otoczony powszechnym szacunkiem i zasłużonym uznaniem.

Treść № 13 „Świata”.

Flota pięciu narodów. *M. G-r.*
Z pracowni Andr. Zarzyckiego. (Z 7 il.) *A.B.*
„Mały Wawel”. (Z 4 il.) *Jast.*
Nie warto płakać. *Iza Bronikowska.*
Koń-matematyk. *Dr. Voks.*
Król grecki zamordowany. (Z 3 il.)
Nowe prądy w literaturze i na scenie angielskiej. (Z 3 il.) *Stanisława G.*
Przyjaciel Towiańskiego. (Z 1 il.) *I.L.de Egija.*
Opiekujmy się polskim emigrantem w Niemczech. (Z 2 il.) *Demil.*

Ramsay'a sny o przyszłości. (Z 1 il.) *St. I.*
Francya zbroi się. *K. D.-S.*
Thureau Dangin. (Z 1 il.)
10-lecie szkoły farmaceutycznej. (Z 2 il.) *B.*
Z teatrów warszawskich. (Z 1 il.) *A.B.*
Z teatru krakowskiego. (Z 1 il.) *Ch.*
Kurs higieniczny w Poznaniu. (Z 1 il.)
Katastrofa pod Nowo-Radomskiem (Z 1 il.)
Najważniejsze wypadki minionego tygodnia.
Zemsta bandytów.
W sprawie publikacji: Akta rządu narodów.
Żałobna karta. (Z 2 il.)
Dodatek ilustrowany. (Z 1 il.)

ODDZIELNE ILUSTRACYE:

Jubileusz „Echa” lwowskiego.
Z Tow. Roln. w Król. Polskiem. (2 il.)
Święcone w Warsz. Tow. Dobroczynności.
Z życia kolonii polskiej w Tiumentiu.
Nowa Rada miejska we Lwowie. (8 il.)
Stanisław Postępski.

TURYSTA POLSKI.

W krainie Piastów. (Z 6 il.) *N. Dworzacek.*
Z nad źródeł Wisły. (Z 2 il.) *Paweł Rewka.*
Największy dworzec świata. (Z 2 il.) *St. S.*
Wycieczki krajoznawcze w Królestwie.
Drobne wiadomości.

DODATEK ILUSTROWANY.

Adres: Poczta Marki w Pustelniku, stacja kolei Mareskiej, telefon z Warszawą.
W Warszawie: A. Sierpiński, Jerozolimska 78, telef. 1074.



Fabryka dzwonów Czerniewicza w Pustelniku.

Kilka miesięcy temu wykonane zostały w fabryce p. Czerniewicza w Pustelniku pod Warszawą największe z posiadanych w kościołach w Królestwie 2 dzwony. Jeden z nich, większy, przedstawiony na rysunku, waży 20000

funt. Wyższy jest od Zygmunta krakowskiego o 20 centym., lecz węższy o 10 centym.

Na wystawie w Łodzi otrzymał najwyższą nagrodę, wielki złoty medal za czystość tonu, harmonię dźwięku, staranne wykoń-

czenie i artyst. ornamentacye, utrzymane w stylu barokowym.

Mniejszy dzwon jest harmonijnie dostrojony do większego i waży 13000 funt. Obydwa dzwony wykonane zostały dla klasztoru Jasnogórskiego.

Z Kalotechniki.

Nr. 44. W tym razie nic nie możemy poradzić zaocznie. Może Pan za bytnością w Warszawie zgłosi się do Kalotechniki w godzinach przyjęć lekarskich, pomiędzy 4 — 6; tymczasem smarować kremem Radium miejsca zaczerwienione na noc, rano zaś wycierać płynem Vesta.

Nr. 3. Piegę usunie bezpowrotnie krem angielski d-ra Orgley'a. Na noc smarować kremem, rano płynem Vesta. Zęby wybieli oraz przykry zapach z ust usunie Elixir radiowy, higienicznie utrzymujący jamę ustną. Zdejmowanie brodawek i zna-

mion wykonywa się w Kalotechnice codzień od 4 — 6.

Nr. 56. Za słowa uznania dziękujemy. Dewizą naszą jest sumienne traktowanie Sz. naszych Klientów. Przyczyną wypadania włosów, jak przypuszczamy, jest jakiś pasożytniczy grzybek. Najlepiej, gdy Sz. Pan przyśle wyczeszki włosów do analizy lekarskiej do nas; lekarz zbada włosy i przepisze odpowiednią kurację. Analiza kosztuje rb. 3.

Nr. 2. Łupież zginie oraz zbytni tłuszcz z włosów usunie się przez systematyczne mycie mydłem płynnym Antrasolowem. Znakomity ten środek zbawiennie działa na skórę gło-

wy. Przeciw rozdławianiu się włosów Ol. Hel. Wągry trzeba usunąć mechanicznie w Kalotechnice, następnie myć się, zamiast mydłem, Perlekami alkalicznymi, oraz dwa razy dziennie wycierać twarz płynem Vesta.

Wymienione tu środki wysyła za zaliczeniem Kalotechnika, oraz w Kijowie Jurotat, w Wilnie Gruzewski, w Krakowie Miklaszewski, pl. Dominikański, 1, we Lwowie Pawłowski, Akademicka, 21, w Radomiu Cieszkowski, w Sosnowcu Jagiello-wicz, w Lublinie Bernatowicz, w Piotrkowie Kryński.

Zarząd Kalotechniki.

Poradnik higien.-kosmetyczny.

Znaczenie zdrowych zębów.

Że zdrowe zęby są najgłówniejszą podstawą zdrowia całego organizmu, o tem nie może być nawet dwóch zdań. Dzięki nim zachowuje się w zdrowiu żołądek, ten główny regulator, oraz cały ustrój. Należy więc jaknajbardziej naciskać na pielęgnowanie zębów, na utrzymanie ich w porządku. Zabiegi te nie należą do łatwych i bylejak zbyć ich nie można, gdyż nieumiejętne i niestosowne pielęgnowanie jeszcze większą szkodę przynieść może. Ze wszystkich środków, używanych do pielęgnowania zębów, praktyka dowio-

dła że najlepszym okazał się „Tlenol“ (krem, proszek i eliksir), sporządzony według przepisu dr. Napoleona Cybulskiego, profesora Wszechnicy Jagiellońskiej. Dezynfekuje on znakomicie zęby i jamę ustną, oraz, jako niezawierający mydła, nie niszczy emalii.

Brońmy się przed anemią.

Medycyna współczesna zajadła walkę wytoczyła tak dotkliwie trapiącej ludzkość całą — anemii, blednicy i neurastenii, powstałej na tle wyczerpania życiem, czy pracą. Z pośród wielkiej ilości przeróżnych środków najracjonalniejszymi okazały się pigułki Sanguinal'owe Krewel'a, białe, oczkzone, odpowiadające w przybliżeniu 5 gr. krwi i z łatwością wchłaniane

przez ustrój. Stosować je należy ściśle według wskazówek lekarzy, a na pewno wszelkie dokuczliwe objawy znikną bez śladu.

Idealny puder.

Utrapieniem pań jest zawsze upał w sali balowej. Pot strumieniami oblewa twarz, świecąca się od niego, jak wysmarowaną tłuszczem. Radikalnym środkiem na ten kłopot jest nader praktyczny puder angielski w książeczkach, tak zw. Papier Poudre Ltd. Jedna karteczka taka, wydarta z tej książeczki i przy pomocy chusteczki rozarta na twarz, w zupełności zapobiega złemu.

Dr. M. D.

Statki odpływające z Hamburga:

Linia Hamburgsko-Amerykańska

- a) do Nowego Jorku: 15, 21, 27, 29 Marca, 3, 10, 17, 24 kwietnia, 1, 10, 15, 17, 24, 25, 28 i 29 Maja.
b) do Philadelphii: 25 Marca, 2 i 19 kwietnia, 8 i 18 Maja.
c) do Bostonu: 21 Maja.
d) do Rio Janeiro, Santos, i Buenos Ayres: 18 i 26 Marca, 1, 8, 15, 22 i 29 kwietnia, 13, 20 i 27 Maja.

Statki odpływające z Tryestu:

Austro-Americana

- a) do Nowego Jorku: 15 i 29 Marca, 12, 19 i 26 Kwietnia, 3, 17, 24 i 31 Maja.
b) do Rio Janeiro, Santos i Buenos Ayres: 20 Marca, 3 i 17 kwietnia, 1 i 15 Maja.

Austryacki Lloyd:

- a) do Bombaju: co 1 i 16 każdego miesiąca.
b) do Shanghaju: co 4 każdego miesiąca.

- c) do Jokohamy i Kobe co 10 każdego miesiąca.
d) do Aleksandryi: linia pośpieszna, co Piątek.
e) do Grecyi i Konstantynopola: linia pośpieszna co Wtorek.
f) do portów Egipskich, Jaffy i Bejrutu: co Niedziela.
g) do portów Dalmatyńskich, linia pośpieszna, we Wtorki, Czwartki i Soboty.
h) do Wenecyi: we Wtorki, Czwartki i Soboty o północy, w Soboty o 2 i Niedziele o 4 popołudniu.
i) do Ancony: co Sroda o 7 rano, i co Sobota o 4 popołudniu.

Wycieczki morskie:

- 1) 19 Marca: Z Tryestu („Thalia“ A. L.) — Gravosa — Syrakuz — Malta — Porto Empedocle — Tunis — Souza — Trypolis — Korfu — Cat-taro — Portorose — powieść do Tryestu 6 kwietnia.
2) 11 Kwietnia: Z Tryestu („Thalia“ A. L.) — Korfu — Malta — Tunis — Algier — Gibraltary — Tanger — Las Palmas — Teneriffa — Madeira — Kadyks — Almeria — Palma — Barcelona — przyjazd do Genui 12 Maja.
3) 16 Maja: z Genui („Thalia“ A. L.) — Genua — Barcelona — Palma — Malaga — Gibraltary — Tanger — Kadyks — Lizbona — Arosabay — Ride — Amsterdam — przyjazd do Hamburga 7 Czerwca.

N. B. Wykaz tegorocznych letnich wycieczek morskich pomieszczony będzie w następnym numerze.



**NIE ZANIEDBUJ CIE NIGDY PRZEZIEMBIENIA
I ZAŻYWAJ CIE NATYCHMIAST**

TRISAN D^{ca} HOMMELA

**PRZY KASZLU, CHRYPCIE, KATARZE I WOGÓLE CHOROBAH
ORGANÓW ODECHOWYCH I GARDLANYCH.
PROSIMY ŻAДАĆ IMIE D^{ca} HOMMELA.**

TURYSTA POLSKI.

„Turysta polski” wychodzi raz na miesiąc w poł. każdego miesiąca.
Prenumerata wynosi 2 rb. rocznie.

Cena ogłoszeń: wiersz nonpar. 30 kop.

Cena zeszytu 15 k.

№ 15.

Marzec 1913 r.

Adres redakcji i administracji:
Warszawa, Zgoda 1 róg Chmielnej
Wydawnictwo Akc. Tow. „Świat”.

Redaktor odpowiedzialny A. Breza.

W krainie Piastów.

II.

Kultura niemiecka wybiła swój stempel na całej przeszłości Dolnego, a w znacznej części i Górnego Śląska. Małe miasteczka — ongi często stolice książęce, jak Jawor (dziś Jauer), Świdnica, Głogów i in., w zabytkach swoich, w stylu, pamiątkach etc. nie zachowały nic, najmniejszego śladu nawet słowiańskiej, polskiej przeszłości i pochodzenia.

Więc też w Jaworze, jakby ze starych sztychów odtworzonym, średniowiecznym miasteczku niemieckim, najmniejszą uwagę zwraca... więzienię, z zamku piastowskiego przerobione...

Ruiny zamku Bolkowego w Bolesławcu (Bolkenheim), odrestaurowane przez „Riesengebirgs-Verein” i „ozdobione” przez tę instytucję małym pomnikiem Bismarka na dziedzińcu zamkowym i flagą o pruskich kolorach na szczycie wieży, — pomimo swego miana piastowskiego i bardzo malowniczego położenia, nader mało do duszy polskiej przemawiają...

Również małe wrażenie wywołuje oświadczenie cicerone’a w Jeleniogórze (Hirschberg), iż kościół miejscowy został zbudowany w r. 1108 przez Bolesława III, bez bliższego określenia, co to był za Bolesław i z jakiej linii. Tembardziej, że kościół ten już w XIII wieku został przez ja-

kiegoś biskupa niemieckiego i księcia Bernharda przebudowany w stylu gotyckim, — w roku wreszcie 1880 odnowiony tak gruntownie, że niczem się nie różni od zwykłych niemieckich kościołów.

Wszystko to są pamiątki piastowskie wprawdzie, ślady Piastów, ale czysto niemieckie; wszelki pol-



Zamek w Lignicy.

ski pierwiastek najstarszemu został zatarty i zneutralizowany...

I dopiero Lignica, gdzie znajduje się grobowiec ostatnich Piastów, wywołuje niejakie wrażenie na duszy turysty polskiego, — ale wrażenie bolesne, przygnębiające nad wyraz... Zamek lignicki dzisiejszy nie jest tym, w którym mieszkała Ś-ta Jadwiga i gdzie błogosławiła syna na bój z tatarami. Stoi on tylko na tem samym miejscu i zapewne posiada coś w sobie z dawnych murów.

Natomiast oryginalną i czasy najazdów tatarskich pamiętającą jest brama Głogowska, stanowiąca jedyną bodaj pozostałość po dawnych murach fortecznych. Jest kilka starych kościołów o wybitnie i wyłącznie niemieckim charakterze i wreszcie — kościół św. Jana, a w nim kaplica Piastowska z sarkofagami ostatnich książąt z tej dynastii. „Piastengruft” — „Monumentum Piasteum”, to największy zabytek Lignicy, z dumą i pewnym pietyzmem pokazywany każdemu przyjeźdźcy.

Charakterystyczny rys: w kościele św. Jana, zwanym popularnie „piastowskim”, widnieją kilka napisów polskich. Zdawałoby się to wskazywać, że gdzieś w okolicy musiały ocaleć jakieś gniazda polskie, nieznane zresztą nikomu. Pewnym jest przecie, że bez koniecznej potrzeby czysto niemiecki zarząd kościelny nie dałby ani jednej litery polskiej...

Kaplica Piastowska została zbudowana ofiarnością księżnej Ludwiki, matki ostatniego Piasta, ks. Jerzego Wilhelma.



Jawor, była stolica księstwa piastowskiego.



Lignica. Brama głogowska.

U wejścia tablica erekcyjna o-
piewa:

*„Polsce 24 królów, Szląsko-
wi 123 książąt, Kościołowi 6 ar-
cybiskupów i biskupów dał,—Re-
ligii, nauce i sztuce wysoko się
zasłużył, a przez śmierć boha-
terską jednego ze swych ksią-
żąt, Niemcy od najścia tatarów
oswobodził“.*

Wątpić, coprawda, należy, aby
Henryk Pobożny, aczkolwiek wogó-
le niemiecką politykę matki swej, św.
Jadwigi, uprawiał dość wyraźnie,
miał wistocie na celu „obronę Nie-
miec“. Była to walka obronna wo-
góle przeciwko najazdowi pohańców,
bez dalszej niewątpliwie myśli.

Kaplica, w formie okrągłej ro-
tundy barokowej, posiada 5 nisz, od-
dzielonych kratą żelazną od wnętrza.
Spoczywają w tych niszach w sar-
kofagach zwłoki księżny Zofii Elżbie-
ty († 1622), ks. Ludwika († 1663),
dwie trumienki dziecinne, zwłoki o-
statniego Piasta i jego matki, Lu-
dwiki († 1680).

Nas najwięcej interesuje grób
ostatniego potomka wielkiej, świetnej
rodziny Piastów. Ale przygnębienie
ogarnia na widok tej trumny, kryją-
cej szczątki młodziutkiego Jerzego
Wilhelma, trumny, którą opatrzone
na froncie olbrzymim herbem rodzi-
ny brandenburskiej... Dlaczego? Bo...
babką ostatniego Piasta była Dorota-
Sybilla brandenburska, więc ją nale-
żało na trumnie wnuka uhonorować
przedewszystkiem; herb Piastów u-
mieszczono na boku, wśród orna-
mentów przeladowanej niemi trumny.
Herb Piastów, — ul, pod mitrą ksią-
żęcą i złamany, bo jest to grób osta-
tniego Piasta... Więc i napis nad
tym herbem: „*Demto fracta rege*“...

Napis grobowy brzmi lakoni-
cznie:

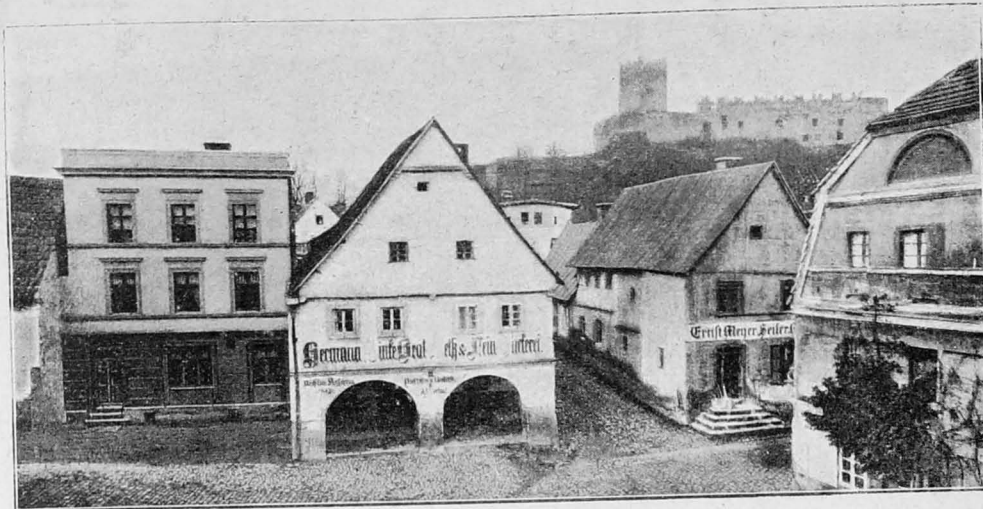
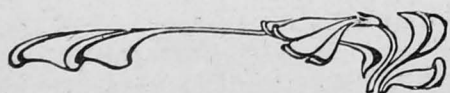
HERZOG GEORG WILHELM
1660 † 1675.

W podziemiach kościoła ś-go
Jana, a zapewne i paru innych sta-
rych lignickich, znalazłoby się wiele
trumien ze szczątkami Piastów. Czy
zabierze się ktokolwiek do badania
tych piwnic?

Pamiętki piastowskie wogóle
nie są na Szląsku przez Niemców
traktowane ze zbytnim pietyzmem.
Wyjątek może stanowi tylko ta ka-
plica z trumną ostatniego Piasta.
I bodaj, że ten tragiczny pierwiastek,
tkwiący w pojęciu o zakończeniu się
czegoś bezpowrotnie, najwięcej na-
daje uroku i pobudza, kogo należy, do
większej staranności i opieki...

Wogóle, wspomnienia piastow-
skie, rozsypane w kilku miejscach
na Szląsku, smutne na nas robić mu-
szą wrażenie...

N. Dworzaczek.



Bolesławice. Widok ogólny miasteczka i zamku.



Lignica. Wejście do zamku.



Lignica. Sarkofag ostatniego Piasta w kościele św. Jana



Wisła.

Z nad źródeł Wisły.

Lat temu kilkanaście — około piętnastu — znakomity uczony, dr. Julian Ochorowicz, odkrył na Śląsku austriackim prześliczną miejscowość, Wisłę. Zachwycony uroczą okolicą, przeczystem powietrzem, pościągnięty malowniczymi obyczajami tamtejszego ludu, jego językiem jędrnym a bogatym, postanowił pobrać się tam i zachęcić innych do osiedlenia się w Wiśle.

Od tego czasu stanęło kilka wili prywatnych, poczęły się mnożyć pensjonaty, zbudowano nawet hotel, połączony z zakładem wodolecznictwem, który jednak, w nieumiejętnych rękach, nie zdołał stać się środowiskiem ruchu sezonowego, jakby powinien — i Wisła z roku na rok coraz więcej przyciąga gości.

Zasadniczą wadą tego uroczonego zakątka jest trudność dojazdu. Kilkakrotne przesiadanie się na kolei, postoje na małych stacyjkach, brak dogodnej komunikacji ze stacją Ustroń, o 9 km. odległej, wszystko to może odstraszyć podróżnych, przyzwyczajonych do europejskich stosunków. Jest wszakże odwrotna strona medalu, *les qualités de ces défauts*: cisza, spokój, brak tych wszystkich niewygód i przykrości, jakimi oplaca się wygodę blizkiej stacji kolejowej i drogich hoteli.

Żyje się tam w atmosferze czystości i spokoju. Powietrze — wyjąwszy nadrzeczną część Wisły, gdzie zabudowania grupują się wzdłuż drogi do Ustronia — ma w sobie przejrzystość i woń, niosącą samo zdrowie.

Środkiem wsi płynie rzeka Wisła, mająca niedaleko swe źródła, pod górą Baranią. Niema tam żadnych pompatycznych urządzeń kąpielowych, ale też tem milej zażywać ką-

pieli, gdziekolwiek się ma na to ochotę, bez żadnych wstępnych ceremonii, taks i biletów. Wisła w tych stronach jest jeszcze dość płytka i niezbyt szeroka; są jednak miejsca, gdzie zatrzymana sztuczną albo naturalną tamą woda tworzy spore baseny, umożliwiające nawet pływanie.

Do Wisły, wśród licznych dopływów, wpada rzeczka Dziecheńka, płynąca śliczną doliną, między urwistymi górami, gdzie ciemne świerki mieszają się z wesołą grabiną i poważnymi bukami. Ta różnorodność drzew, rozrzucona wprost bujność natury w każdej dziedzinie, jest jednym z uroków tych okolic. W przeciwieństwie do Dziecheńki, płynącej kapryśnie, w ciągłych skrętach i przeskokach, rzeka Kopydło, uregulowana i spokojniejsza, dąży ku Wiśle w jednolitem korycie, spadając równymi kaskadami po poprzecznych progach z belek. Z willi, położonych na t. zw. Groniczku lub na Dzielnicach, słychać nieustanny szum Kopydła w dole, pomieszany z szmerem nadwodnej wikliny. A kiedy po deszczach i śniegach wody wzbiorą, niema prawie zakątka, gdzieby nie dochodził rozgwar potoków i rzek.

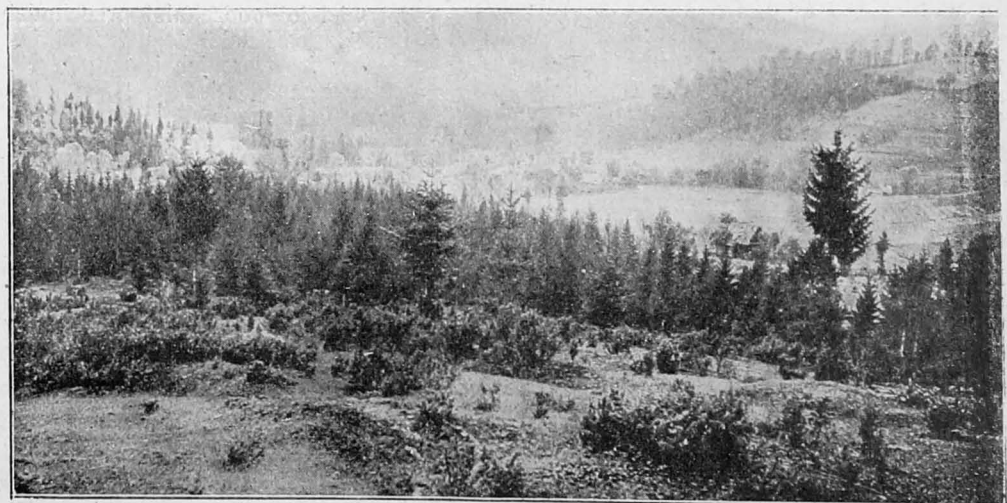
Wisła przybiera wówczas groźną postawę: pociemniała, szarawo-żółta, bielejąca pianami, niesie na rozpędzonych wodach szczątki drzew, porwane gdzieś w górskich lasach, przewala się burzliwie przez tamy. Stojąc na jednym z mostów, za którym jest skręt na drogę do Istebny, można podziwiać bez końca huczące wody, całą masą skłębionych pian przelewające się przez śluzy. Dalej, w górę Wisły, lekko przerzucony z brzegu na brzeg rysuje się długi i wązki most, dochodzący do stóp cmentarza — jeszcze dalej, w mglistej perspektywie, dolina, przecięta, równolegle z rzeką, białą smugą gościńca.

Ci, którzy spędzają w Wiśle miesiące zimowe, twierdzą czasem, że zupełnie odcięcie od świata, brak towarzystwa i wszelkich rozrywek stwarzają monotonię i działają przygnębiająco. Ale, mimo to wszystko,

z rozkoszą można się zgodzić na takie odosobnienie, gdzie można nic nie wiedzieć o niespokojnym świecie, spędzając dni i wieczory sam na sam z książkami, kiedy za oknem huczą wichry i deszcz kołocze o szyby. Potem, w styczniu, gdy jest biało i mroźno, można widzieć z werandy blade koloryt gór na tle nieba, ciemną smugę rzeki, płynącej w ramach lodowych, albo, dobrnąwszy do cmentarza, patrzeć, jak się śniegowe puchy układają na mogiłach, równając grobowe wzgórza w jednolitą, białą powierzchnię. W tych prostych wrażeniach, przybywających do nas wciąż z głębi natury, jest podstawowa jakaś mądrość, wynikająca z piękna, która stanowi jakoby tło naszych myśli. Na tem tle dopiero rozsnuwamy przedziwo własnych naszych dociekań, rozumowań i wniosków, idących społem lub rozbieżnie, zgodnych lub sprzecznych, zawsze jednak z tego samego poczętych źródła. Co jest tem źródłem? Co jest tem tłem, które, bez naszej świadomości, rozpościera się poza wszystkim? Jaka jest treść tych czystych, pierwotnych marzeń, notowanych czujnymi zmysłami? Jaka tajemnica się w nich kryje? Oto ta, że jest w nich pierwiastek nieśmiertelności. Zaspakajają one w nas wieczną żądzę świadomości, że nieśmiertelność istnieje naprawdę i we wszystkim.

Toteż, z ruchliwych miast, przygnębieni tymczasowością życia w gwarze, w niepokoju i pośpiechu, uciekamy w nieznanne zakątki świata, aby pograżyć się w poczuciu wieczności, patrząc na piękno zmienne a nieruchome, trwające tysiące i tysiące wieków.

W otoczeniu tem, pełnem spokoju i równowagi, żyje lud spokojny również, powolny i milczący. Przyroda nie użyczyła mu swej piękności, śpiewne rzeki nie nauczyły swych pieśni: Wiślanie są raczej nieładni i niezgrabni, nie obdarzeni muzykalnym uchem ani głosem. Ubierają się z góralska, w guńki, koszule i dolną odzież z grubego płótna, w kierpce



Wisła. Dolina Malinki.

i wogóle bez dążności do elegancji. Kobiety na codzień noszą szkaradne, niezgrabne kaftany i krótkie spódnice, od święta zaś mają strój mallowniczy i oryginalny. Spódnica czarna lub kolorowa z niezmiennie szafirowym lampasem u dołu, mocno fałdzista, dość krótka, z pod której widać nogi, odziane w skarpetki z grubej, kolorowej wełny i kierzce albo trzewiki. Koszula o krótkich, bufiastych rękawach, i ciemny gorsecik, bogato haftowany złotem lub srebrem, przepasany szeroką wstążką, związaną z przodu w wielką kokardę. Na włosach, uczesanych gładko i splecionych w warkocz, dziewczęta nie mają nic, albo chusteczkę, związaną pod brodą, mężatki zaś noszą płasko przylegającą do głowy, tuż nad czołem, szeroką, białą koronkę, miejscowej roboty, nieraz bardzo piękną, jako wyrób podobną do irlandzkiej. Koronka ta łączy się, rodzajem płytkiego, siatkowego czepka, który okrywa głowę z tyłu.

Wiślanie mówią piękną poiszczyną, zawierającą mnóstwo bardzo starych i obrazowych wyrażen, napotykanych u najdawniejszych naszych autorów. Niektóre z dawnych zwyczajów też się jeszcze zachowały. Do najoryginalniejszych należy świecenie łuczycem w izbach, rzecz dla nas dzisiaj prawie niepojęta. Nie wszędzie już trzymają się tego zwyczaju. W niektórych chatkach na zapytanie, czy świecą u siebie łuczycem, mieszkańcy odpowiadają z dumą:

— O nie, petrolą!

Nawiasem trzeba dodać, że w czysty język miejscowy wkrađło się sporo wyrazów żywcem wziętych z niemieckiego, które niemile rażą. Ale czyż i to nie dziwne, że mimo niemieckiego i czeskiego naporu polskość utrzymuje się tak uparcie?

Da Bóg, że napływ polskich turystów i stykanie się w ten sposób z naszymi warstwami oświeconymi wpłynie zbawiennie na ten lud, przywiązany do swej narodowości nieświadomie, ślepą siłą tradycji i obyczajów, ale nie poczuwający się jeszcze do jedności narodowej z polakami innych dzielnic. Do wyrobienia w nim tego poczucia dąży wytrwale Macierz cieszyńska, dążąca dzielnie, wspierającą Śląsk materialnie i moralnie, w poczuciu obowiązku wydarcia Niemcom i Czechom tej części polskiej ziemi.

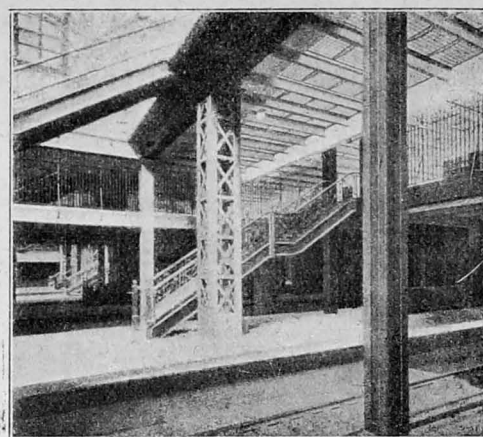
Przeświadczanie, że przyjeżdżając na lato do Wisły, przyczyniamy się w pewnej mierze — samą naszą obecnością — do działalności w tym kierunku, powinno zachęcić nas do wybrania tej prześlicznej okolicy na miejsce naszego wakacyjnego spoczynku. Do wakacji wprawdzie jeszcze daleko — ale może ten i ów, niepewny, gdzie by wyjechać, przypomni sobie o Wiśle. Przypomni sobie — i pojedzie przekonać się. A nie pożałuje, czy zimą czy latem.

Wisła.

Paweł Rewka.



Główne wejście do nowego dworca w Nowym Yorku.



Wejście na perony.

Największy dworzec świata.

W niedzielę, dnia 2 lutego, odbyło się w Nowym Jorku uroczyste poświęcenie jednej z największych budowli, wzniesionych przez człowieka. Jest nią nowy dworzec centralny, który na długie zapewne lata pozostanie największym dworcem na świecie i który jest niejako pomnikiem potężnego rozwoju komunikacji amerykańskiej. Wraz z ceną terenu, na którym wznosi się dworzec, zajmujący powierzchnię 32 hektarów, koszt budowy wynosi okrągłe 300 milionów rubli.

Dworzec zajmuje dwa piętra. Na górnym piętrze znajduje się 21 torów, przeznaczonych wyłącznie dla pociągów pośpiesznych, na dolnym tyleż torów dla pociągów podmiejskich. W olbrzymiej hali nakrytej dachem może się pomieścić 1043 wagonów. A jednak mimo nieprzerwanego ruchu pociągów, podróżny nie słyszy wcale hałasu w poczekalniach i tak zwanym „Concourse”, westibulu, biegnącym wzdłuż całego gmachu.

Budowla została wzniesiona prawie wyłącznie z kamienia i stali; architekturę utrzymano w klasycznym stylu. Centralna poczekalnia przypomina jakgdyby wnętrze olbrzymiej świątyni, dzięki swej kolosalnej wysokości i ścianom z czerwonego marmuru. Przez sześć olbrzymich okien wpada światło do wnętrza, kulista powłoka przedstawia strop nieba; dwa szerokie pasy złote symbolizują równik i ekliptykę, między nimi zgrupowano 2500 gwiazd rozmaitej wielkości; większe z pośród gwiazd są wieczorem elektrycznie oświetlone.

Z tej wielkiej poczekalni przechodzi się do mniejszych i dalej do ubieralni, łazienek, zakładów fryzjerskich i „manicure”. Do wnętrza gmachu wiodzie z VII Avenue wysoka kolumnada. Wielka poczekalnia ma 943 mtr. długości, 32 mtr. szerokości i 45 mtr. wysokości. Urządzenia wewnętrzne są ideałem wygody i komfortu; kasy biletowe i bagażowe, biura telefoniczne, telegraficzne i pocztowe rozmieszczone naokół, w znacznych ilościach. Bagaże nadaje się w osobnej olbrzymiej sali, skąd przewozi się je podziemną kolejką i windami.

Równoległe do wielkiej poczekalni znajduje się wspomniany „Concourse”, przedsionek, szerokości 60 mtr. Stąd wchodzi się na perony; na każdy z nich wiodą oddzielne schody i winda, dzięki czemu pomyłki są niemal wykluczone. Ruch osób przyjeżdżających i odjeżdżających odbywa się zupełnie oddzielnymi arteriami.

Nakoniec, kilka szczegółów statystycznych, mogących dać pewne wyobrażenie o olbrzymich rozmiarach dworca. Na powierzchni 11,2 hektara leżą szyny ogólnej długości 16 mil angielskich. Oprócz jedenastu wygodnych i obszernych klatek schodowych, urządzone specjalnie dla pasażerów i bagażów 25 wind pośpiesznych i ciężarowych. Dworzec ma 235,2 mtr. długości, 129 mtr. szerokości; przeciętna wysokość nad powierzchnią ulicy wynosi 20,7 mtr., wysokość maksymalną 45,9 mtr., jak wspomniano bowiem, przeważna część magazynów, składów, lokali pomocniczych znajduje się w olbrzymich podziemiach. Do oświetlenia gmachu i peronów użyto 500 lamp łukowych i 20.000 żarówek. Budowa pochłonęła 2700 tonn stali i 15 milionów cegieł; ogólny jego ciężar obliczają na 48.000 tonn.

Łatwo wyobrazić sobie, jak niezwykle ruch musi panować w tym olbrzymim budynku, jeżeli się uwzględni, że w ciągu dnia przesunie się przez torów różnych tysięcy przychodzących i odchodzących pociągów.

St. S.

Wycieczki krajoznawcze w Królestwie.

Towarzystwa nasze krajoznawcze rozwijają z roku na rok coraz energiczniejszą działalność, skupiając coraz większą liczbę członków i zapoznając ich z pięknościami naszego kraju rodzinnego.

Włocławskie T-wo Krajoznawcze urządziło w jedną z niedziel ubiegłych wycieczkę, celem zwiedzenia seminarium, biblioteki, kolekcji, oraz kościoła św. Witalisa. Objasnień udzielił: ks. Gruchalski i ks. Górzyski.

W Radomiu odbyło się ogólne zebranie członków miejscowych oddziału Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Do zarządu powołano pp.: Prospera Jarzyńskiego, Zygmunta Słomińskiego, ks. Leona Sobierańskiego, Stefana Sołtyka, Henryka Świdzkiego i ks. Jana Wiśniewskiego; do komisji rewizyjnej pp.: Maksymiliana Skotnickiego, Marceliego Szafrąńskiego i Józefa Wojdackiego.

Kaliskie Towarzystwo Krajoznawcze urządziło w ub. miesiącu wycieczkę do Ostrzeszowa w W. Ks. Poznańskim. Prócz zwiedzenia miasta z pięknym starożytnym kościołem z XV w., zwiedzano również ruiny znacznie starszego zamczyska. Wycieczkę prowadził p. Feliks Matawowski.

Sekcja wycieczkowa Oddziału Kaliskiego Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego ułożyła już projekt wycieczek na cały rok bieżący. W wyborze

miejsowości kierowano się zasadą, że obowiązkiem każdego oddziału jest poznać najpierw okolice własnej siedziby, nim szersze zatoczy po kraju kręgi. Z tych zaś okolic wybrano przedewszystkiem wyróżniające się pod względem historycznym, przyrodniczym czy ludoznawczym.

Oto szczegółowy program: d. 23 lutego — Ostrzeszów w Poznańskim, d. 9 marca — Jarocin, d. 30 i 31 marca — Łęczyca i Tum, d. 20 kwietnia — Trojanów, Chełmce, Szale, d. 27 kwietnia — Kościelna Wieś, d. 11 i 12 maja — Koło z zamkiem i okolicą, d. 18 maja — Liszków, d. 25 maja — Kokanin, d. 8 czerwca — Chocz, d. 22 czerwca — Warta i źródło Swędni, d. 6 lipca — Burzenin, d. 20 lipca — Dembe Pólko, d. 27 lipca — Żydów, d. 10 sierpnia — Rychnów, d. 24 sierpnia — Kurnik w Poznańskim, d. 7 i 8 września — Łowicz, wieś Książcka, d. 28 września — Antonin w Pozn., d. 19 października — Zerków, d. 1, 2, 3 listopada — Warszawa, d. 7 i 8 grudnia Wrocław.



Drobne wiadomości.

Turystyka w Galicyi. Z inicjatywy galicyjskiego Kraj. Związku Zdrojowisk i Uzdrowisk odbyła się niedawno we Lwowie konferencja delegatów kilkunastu towarzystw turystycznych, sportowych itp., celem naradzenia się nad sposobami rozwinięcia ruchu turystycznego w Galicyi. W powziętej uchwale zażądano stworzenia organizacji rad turystycznych, utworzenia przy Namiestnictwie lwowskim, w Wydziale krajowym we Lwowie i Dyrekcji kolejowej posad stałych fachowych referentów dla spraw popierania ruchu obcych i turystyki. Działalność istniejącego w Krakowie Krajowego Związku Turystycznego uznano za niewystarczającą a nawet szkodliwą. W memoriale do władz kolejowych postanowiono wyrazić życzenie zmian w rozkładzie pociągów, bezpośrednich wagonów, biletów turystycznych, ilustrowanych przewodników kolejowych i t. p. Ważną jest uchwała zwrócenia się w osobnym memoriale do Rady szkolnej krajowej w sprawie organizowania kolonii wakacyjnych, domów turystycznych dla młodzieży, urządzania zbiorowych wycieczek i t. p. Postanowiono wreszcie założyć związek towarzystw turystycznych i krajoznawczych, oraz odbyć w czerwcu we Lwowie zjazd ogółu polskich towarzystw tego rodzaju.

Z Tatr. Zasłużone Towarzystwo Tatrzzańskie wniosło niedawno do Wydziału krajowego we Lwowie memoriał z protestem przeciwko budowie kolejki na Świnicę, projektowanej przez inżyniera Dzieślewskiego. Memoriał domaga się zwołania fachowej ankiety, któraby zastanowiła się raz jeszcze nad projektem kolejki i nad rentownością projektowanego przedsięwzięcia, mając przedewszystkiem na względzie zachowanie piękności Tatr.

W Zakopanem zbankrutowały dwa przedsiębiorstwa, znane doskonale wszystkim zakopiańskim bywalcom, mianowicie hotel i restauracja „Morskie Oko”, oraz handel win i towarów korzennych Słowika. Na dzierżawę hotelu rozpisano publiczną licytację.

„**Nasza Turystyka**”. Pod tym tytułem wprowadziło znane pismo galicyjskie „Nasze zdroje” dodatek dwutygodniowy, będący organem Sekcji tury-

stycznej Krajowego Związku Zdrojowisk i Uzdrowisk, karpackiego Tow. narciarzy i Akademickiego Klubu Turystycznego. Redaktorem jest Dr. Mieczysław Orłowicz.

Wydawnictwo niemieckie o Galicyi. Styczeńowy zeszyt wychodzącego w Wiedniu wydawnictwa „Reise und Sport” (Podróże i Sport) został poświęcony całkowicie Galicyi. Zasługa wydania tej bogato ilustrowanej monografii, zapoznającej cudzoziemców z pięknościami naszego kraju, przypada w bardzo znacznej mierze wiedeńskiemu ministerium dla Galicyi, które subwencyonowało hojnie wydawnictwo, a zwłaszcza radyce tegoż ministerium drowi Twardowskiemu, oraz księżnej Maryi Lubomirskiej, pracującej gorliwie nad zapoznaniem sfer wiedeńskich z Galicyą, czy to drogą odczytów publicznych, czy zdjęć kinematograficznych. Mimo pewnych braków i usterek, powitać trzeba to pierwsze, poświęcone Galicyi wydawnictwo niemieckie z całym uznaniem, przynieść ono bowiem może rzetelny pożytek. Albowiem Galicya, mimo niezwykłych całkiem piękności przyrody, mimo wspaniałych zabytków, była dotąd zawsze wśród krajów monarchii austriackiej kopciuszkim.

Przy sposobności zaznaczyć należy, że wspomniane zdjęcia kinematograficzne Galicyi, dokonane przez firmę Pathé, głównie z inicjatywy ks. Maryi Lubomirskiej, znajdują się niebawem w programie prawie wszystkich kinematografów austriackich. Będzie to więc dla Galicyi doskonały środek reklamowy.

W Ozorkowie w Królestwie Polskim wytrysło przy kopaniu studni ciepłe źródło o temperaturze 15 stopni ciepła. Próbę wody nadesłano do Warszawy, celem dokonania analizy.

Z Abbacyi piszą nam: Sezon wiosenny zapowiada się bardzo ożywiony. Już obecnie ruch gości jest bardzo duży; nie brak wśród nich i Polaków. Casino des Etrangers wprowadziło w ostatnim czasie, jako urozmaicenie sezonu, „tir aux pigeons”, w którym bierze udział wielu strzelców. Celem zwiększenia jeszcze atrakcyi, będą ogłoszone zaraz po Świętach Wielkanocnych konkursy strzeleckie z wysokimi nagrodami.

Wycieczki świąteczne. Celem ułatwienia wycieczek do Tryestu, Abbacyi i wogóle miejscowości nad Adryatykiem podczas Świąt Wielkiej Nocy, wprowadziła Dyrekcja wiedeńskiej Kolei południowej specjalny pociąg po cenach znacznie niższych. Tak gdzieindziej dbają nawet zarządy kolejowe o podniesienie ruchu turystycznego. U nas inaczej.

Walka kwiatowa w Nicei. Karnawał nicejski, który oddawna już zajął miejsce karnawału weneckiego w programie międzynarodowych przyjemności, rozpada się na szereg urozmaiceń. Najhałaśliwszem z nich jest niewątpliwie wielka maskarada, kończąca się balem w kasynie; najpiękniejszym natomiast walki kwiatowe na wspaniałej Promenade des Anglais. Cała Nicea występuje w tym dniu w przepysznym, bogatym stroju kwiatowym; piękność przyrody i sztuka ogrodnicza podają sobie ręce, aby stworzyć prawdziwe cudy. Od kilku lat zyskali ogrodnicy nowy materiał surowy w samochodzie, a jego kwiatowa dekoracja staje się niejako tryumfem pożyźni nad prozą techniki. W bieżącym karnawale można też było widzieć niezwykle pomysłowo i artystycznie smakiem rozwiązane. Oczywiście, pojazdy konne wystąpiły również w całej krasie do

współzawodnictwa, a sędziowie konkursowi niełatwe mieli zadanie.

Zagrożona świątynia. Sławnej średniowiecznej bazylice Santa Maria w Trastevere w Rzymie zagroziła katastrofa. Na fasadzie świątyni ukazały się tak głębokie rysy, że niebezpieczeństwo ruiny nie jest wykluczone. Inżynierka miejska poleciła natychmiast podparcie fasady i zamknięcie najbardziej zagrożonej kaplicy wewnętrznej, a równocześnie rozpoczęto opracowywać plany uratowania cennego zabytku.

W Arco, znanej tyrolskiej miejscowości klimatycznej, odsłonięto temi dniami pomnik arcyksięcia Albrechta, wzniesiony w pobliżu zamku arcyksiążęcego i promenad. Pomnik przedstawia zmarłego arcyksięcia w pozycji stojącej, z laską w rękę, jak go widywali często i pamiętają dobrze wszyscy goście kąpielowi, bawiący w Arco.

Opieka nad zabytkami. O interesującym bardzo wypadku, świadczącym, jak kulturalna zagranica dba o zachowanie zabytków sztuki i przyrody, doniosły niedawno pisma angielskie. W pobliżu Cumberlandu w Anglii północnej znajduje się na Castrigg Fell t. zw. „mur druidyczny”, jeden z najciekawszych przedhistorycznych zabytków, z którego pozostało jeszcze po dziś dzień 48 olbrzymich głazów. Zabytek ten wraz z okolicznym terenem został zakupiony na własność narodową, celem uchronienia go od wandalizmu niekulturalnych przedsiębiorców lub amerykańskich, gotowych zawsze kupować wszelkie zabytki.

A u nas? Drobny przykład: W Karlikowie w Poznańskim sprzedano niedawno na rozbiórkę starożytny dworek, gdzie nieraz przemieszkiwał Jan Sobieski i Marysienka, oraz wycięto wspaniałe, otaczające go lipy. A przykładów podobnych ileżby można przytoczyć!

Odpowiedzi redakcyi.

P. E. Z. Miejscowości Kapurthala w wykazie stacyi w Indyach nie znajdujemy i udzielić możemy żądanych informacji tylko odnośnie do Delhi. Koszt przejazdu w II klasie z Podwołoczysk przez Lwów, Kraków i Wiedeń do Tryestu wyniesie rubli 43.55. Jazdy około 35 godzin. Koszt przejazdu w I klasie na parowcu Austriackiego Lloydu z Tryestu, przez Port Said do Bombaju (z utrzymaniem) wynosi rubli 335. Odjazdy dwutygodniowe, a to, co 1 i 16 każdego miesiąca, na morzu około 2 tygodni. Koszt przejazdu z Bombaju do Delhi w I klasie około 40 rb.; trwanie jazdy 24 godz.

Prenumeratorem. Koszt okólnego biletu II klasy z terminem 90-cio dniowym, ważnego na wszystkie pociągi: „Aleksandrowo-Berlin-Kolonia - Koblenca, statkiem do Moguncyi, dalej Bazylika - Lucerna - Bellinzona - Medyolan - Wenecja, statkiem do Tryestu, dalej Wiedeń - Kraków - Granica, wynosi rb. 92.70 kop. Przerwy bez formalności dopuszczalne na wszystkich większych stacyach. Książeczkę taką otrzyma Pan w biurze podróżniczym W. Jeziorański w Warszawie, Nowosienna 2A.

A. P. w Łodzi. Najdogodniejszy przejazd z Łodzi do Reichenhall będzie: Łódź Kaliska odj. 7.55 ran., Skalmierzycy prz. 12.27, odj. 12.48 popoł., Wrocław główny prz. 3.16 popoł., odj. 6.05 wiecz., Drezno główny prz. 10.31, odj. 10.45 w., Monachium prz. 7.50, odj. 8.15 rano, Reichenhall prz. 11.29 przed południem. Koszt przejazdu II kl. rb. 29.10, III kl. rb. 19.50.

Człowiek wszechwiedzący...



stosuje **Skawulin**, roślinny środek przeczyszczający, odpowiedni dla każdego organizmu. **Skawulin** leczy radykalnie zatwardzenie, usuwa bóle głowy, bóle żołądka i kiszki, przywraca zdrową cerę. **Skawulin** reguluje funkcje kiszki; jest to środek bardzo cenny dla osób o usposobieniu żółciowym.

SKAWULIN. środek przeczyszczający w postaci pigułek bez smaku i zapachu.

Dr. med. Teodor von Holst

zamieszkał w Wiessbaden,

przyjmuje chorych z wewnętrznymi i nerwowymi cierpieniami.
ul. Müllera № 6.

Na dogodnych warunkach!!!

Sprzedaję i kupuję brylanty, złoto, perły i kwity lomb. Placę najwyższe ceny. Magazyn Jubilerski, S. Jakowiak, Marszałkowska 100.

MEBLE

poleca Związek Meblarzy
SENATORSKA 29. Tel. 135-45.
Galerya Luksenburga.



SZKOŁA KROJU M^{ME} MERCÈRE

Egzystująca lat 25.

Kursy krawieczyzny i bielizny z prawami rządowymi.

Gruntowna nauka szycia, pasowania i modelowania. Przy szkole pracownia—pensjonat. Dla zamiejscowych kursy przez korespondencję.

NA ŻĄDANIE PROSPEKTY.

NOWY-ŚWIAT № 42. Telefon 87-48.

Hambursko-Amerykańskie Towarz. Żeglugi.

Przejażdżki morskie po Rivierze.

W ciągu Lutego, Marca i Kwietnia 1913 r. kursować będzie pośpieszny jacht turbinowy: „**Kaiser**” mieszczący 2,000 osób i posiadający obszerny pokład spacerowy oraz wspaniałe salony i kajuty, między miejscowościami:

Genua, San Remo, Mentona, Monaco (Monte Carlo), Nicea i Cannes.

Odjazdy z Genui: we Wtorki, Czwartki i Soboty, o godz. 10 przed południem.

Odjazdy z Cannes w Poniedziałki, Środy i Piątki o godz. 10 przed południem.

Informacje w biurze podróźniczym **M. Ryszkowski, Warszawa, Plac Saski 5.**

Thiotimina

Aptekarza **J. HUMBLET**
(w Noworadomsku, g. Piotrkowska).

Zatw. przez Urząd Lekarski Petersb. za № 6816.

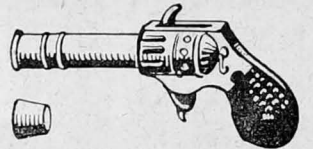
Zalecany przez p. p. Lekarzy z niezawodnym skutkiem jako środek znakomity w przypadkach chorób dróg oddechowych jak: katar krtani, katar oskrzeli, katar płuca, kaszel. Pobudza łaknienie, wzmacnia organy trawienia, a tem samem przyczynia się do ogólnego polepszenia stanu chorego.

Sposób użycia przy każdym flakonie.

Żądać we wszystkich aptekach i składach aptecznych.

BEZ POZWOLENIA nosić można nasz REWOLWER

Cena 2 ruble z 50 kulami.



Bezpieczna i pewna broń dla samoobrony, przestraszenia i alarmowania. W zupełności zastępujący drogie i niebezpieczne rewolwery. Wydaje nadzwyczaj silny strzał. Niezbędny dla każdego. Pozwolenia na taki rewolwer nie trzeba. Stałowa lufa, rączka z drzewa orzechowego. Cena z 50 kulami 2 rb., 50 kul—75 kop., 100 szt.—1 rb. 40 k. Za przesyłkę rewolweru i kul za zaliczeniem dolicza się 35 kop., na Syberyę 55 kop. Przy zamówieniu 3 i więcej rewolwerów przesyłka nanasz rachunek.

Dom Handlowy Bracia LUBKA, Łódź M. 30.

Medale Złote na Wystawach higienicznych

50% Oszczędności opatu

patent. MULTIPLIKATOR OGRZEWANIA usuwa wilgoć;
- PIECE ŻELAZNE MULTIPLIKATOROWE z nawilżaniem;
- DRZWICZKI PIECOWE nierozpalające się; 7897
- SZYBKONAGRZEWACZE wody do kąpiel.

Dr. W.P. KŁOBUKOWSKI, inż. Warszawa, Al. Jerozolimskie 71, tel. 15-02.

Tanie pierze czeskie.



5 kg. świeżych dartych 4 rb. 30 k., lepsze 5 rb. 20 k., 5 kg. białych, miękkich jak puch, dartych 10 rb. i 12 rb. 50 kop., 5 kg. śnieżno-białych miękkich jak puch, dartych 15 rb., lepsze 17 rb. 50 k. Pierze nie płacą cła. 5 kilogr.—12 funtom rosyjskim. Wysyła się franco bez cła za zaliczeniem. Zwroti wymianę uwzględnia się za potrąceniem porta.

Benedikt Sachsel,

Lobes № 182 p. Pilsen, Czechy.

!WYSTRZEGAĆ SIĘ NAŚLADOWNICTW!



Ofiarności czytelników naszych polecamy ucznia klasy IV-e szkoły Rychłowskiego, idącego o własnych siłach, a proszącego o pomoc na zapłacenie wpisu. Ofiary dla J. S. przyjmuje Admin.

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok V.

Warszawa, dnia 29 marca 1913 roku

№ 13.

Józef Weysenhoff.

Prawa przedruku i przekładu zastrzeżone
przez autora i wydawców.

GROMADA.

Powieść ziemiańska.

27

Śpiesznie i ochoczo wyszedł doktor z gabinetu, pozostawiając w nim Bronieckiego, który wróżył sobie z instalacji i z wszechstronnego wykształcenia doktora, że i kuchnię musi mieć dobrą. Mina doktora za powrotem, zadowolona i pewna swego, wzmocniła jeszcze to mniemanie.

— Czy pan pije białego burgunda? — zapytał Czemski — mam parę butelek z lepszych czasów.

— Moje wino! — odrzekł wesoło Broniecki, choć uważał za swoje wszystkie gatunki win, byle dobre.

Oczekując obiadu, dwaj nowi przyjaciele ciągnęli dalej rozmowę. Mówił Broniecki:

— Gdziekolwiek się zajrzy w tę naszą ziemię, trafia się na robotę szlachty. Zdarza się tu i tam jakiś wyskoczek z ludu, z miasta, ale naogół wszędzie szlachta: na polu i w mieście. A warczą na nas z różnych piśmideł, żeśmy strupieszeli. Androny, panie Tomaszu! Gdzie tylko co się robi — wszędzie szlachta. A co najzabawniejsze, że ten, który się na nas ciska, także zwykle ze szlachty! Jeżeli nie z żydów, bo tych to już powołanie czekać na wszystkie roboty, nie prowadzone przez kahał i dla kahału.

Doktor ujmował kwestję z szerszego stanowiska:

— Można powiedzieć, że wszystko u nas robi szlachta, albo i nie szlachta; robią — obywatele kraju. A między nimi jest ogrom-

na większość takich, których dawniej nazywano szlachtą i nazywanoby może dotychczas, gdyby nasz ustrój państwowy był naturalną ewolucją, a nie uległ bezprzykładowemu w dziejach gwałtowi i zepsuciu. Pomimo osławionego naszego nierządu i mniej wydawnionej niedoli, myśmy dążyli konsekwentnie do najszczytniejszej demokratyzacji, do równouprawnienia czynnych obywateli. Przyjmowaliśmy przecie w poczet szlachty mieszczan, chłopów, nawet żydów, pod wiecór Rzeczypospolitej, w dobie oświecenia i świadomości, zakończonej nieszczęściem — uszlachcaliśmy masowo ludzi pożytecznych. I to szlachectwo polskie nie miało nic wspólnego z feodalną szlachtą Zachodu, ani z hierarchiczną kamaryllą Wschodu; posiadał je równouprawniony obywatel polski, *civis Polonus*; było to coś w rodzaju patentu dojrzałości do udziału w rządzie i w prawach obywatelskich. Gdybyśmy się dotąd rozwijali normalnie, takiej szlachty byłoby jeszcze więcej; byłiby w niej i nowi chłopci — obywatele i mieszczanie — z czasem wszyscy zdolni do sprawy publicznej. Jeszcze krok dalej: zniesienie dziedziczości praw szlacheckich, a stalibyśmy się idealną gromadą republikancką. I dzisiaj, pomimo setnych przeszkód zewnętrznych, ten proces historyczny trwa: lud się budzi do obywatelstwa, czyli do polskiego „szlachectwa“, szlachty zaś, w znaczeniu stanu uprzy-

wilejowanego, niema już wcale. Są pretensje, niczem nieuzasadnione, do przewodnictwa w narodzie naszej śmiesznej, opasłej arystokracji, która też przecie ze szlachty wyrosła; są wspomnienia, utyskiwania niektórych rodów, rzeczywiście w przeszłości zasłużonych; ale to już przepada zupełnie w ogólnej „szlacheckiej“ robocie, która jest i trwa, w przeciwieństwie do tak zwanej „Polski ludowej“, której niema, która istnieje tylko w głowach oszołomionych ewolucją społeczną niepolskiego zgoła typu. Ameryka jest „ludowa“, bo powstała z rozrostu gminu. Ale Polska ma swój własny typ rozwoju, zdawna ustalony.

Broniecki słuchał uważnie długiej konferencji doktora, miarkując sobie ubocznie, że musiał on mieć już gotowy taki odczynek od parady. Nie wątpił jednak o szczerości Tomasza Czemskiego, tylko mu się w perorze nie wszystko jednakowo podobało.

— Mówisz, panie Tomaszu, jak z nut. Czy i piórkiem czasem tak...?

Domawiał, udając złączonemi palcami prawej ręki drobne pisanie po powietrzu.

— Nie zapieram się. Ale mało co drukowałem i nie z tej kategorii — — Może tam kiedyś po mnie? — — Teraz mnie uniosła nasza zwykła dyskusja ze Stefanem. Bo syn mój należy poniekąd do tych egzotycznych ludowców, którym się przyśniło, że Polska od nich może się zacząć nanowo.

— Tak, tak — odrzekł Broniecki — złotemi usty szczebioczesz, panie Tomaszu. Stefana wydobędziemy najprzód z ciupy — to się da zrobić — potem go sfasujemy mocno do chomała społecz-

nego — o! Ojcu nie wierzy się zwykle—przez ambycję należenia do młodych, do nowych. — Ale my, sąsiedzi, coś tego... mamy mnóstwo przynęt dla Stefeczka.

— Niezmiernie panu wdzięczny jestem, panie... Józefie.

— Jam także bardzo rad, że poznałem tak miłego współobywatela, uczonego, działacza, no — i znowu brata szlachcica.

— Wszystko to pan łaskawie przesadza. A już do szlachectwa nie poczuwam się...

— Jakżeż?! skoro dziad pański był porucznikiem i „urodzonym“ —? — wskazał Broniecki dokumenta wiszące na ścianie.

— Tak... cenię te pamiątki dla siebie. To moje relikwie rodzinne. Ale ze szlachectwa nie legitymowałem nawet ani siebie, ani syna. To tylko bruździ w pojęciu nowożytnych obowiązków obywatela.

— Tu mi dajesz kominka, panie Tomaszu! Nikt się nie wypiera pochodzenia od zacnych przodków. Nie zrobiłbyś pan tego przecie dla przypodobania się owym ludowcom, których krytykujesz? Ręczę, że pan wiesz, jakiego używacie herbu?

— Oni się tam pieczętowali Nałęczem — uśmiechnął się Czemski.

— No więc? Masz pan wszystko, co składa szlachcica: piórka na hełmie i polską duszę w piersi. — No, chodźmy na obiad, obywatelu Tomaszu. — —

Bo już drzwi otworzono do sąsiedniej jadalni, gdzie bielila się zastawa poczesna, a ze ściany spoglądał dziadek w staroświeckim mundurze.

XV.

Broniecki powrócił do Warszawy, pełen otuchy. Nic wprawdzie nadzwyczajnego, ani bardzo nowego nie dowiedział się o Stefanie Czemskim, jednak usposobił się do niego dużo lepiej przez poznanie ojca. Stefan był nawet fizycznie podobny do doktora, że zaś nie dorósł jeszcze do rozumu i wytrawności ojca — to naturalne. Dojrzeje z wiekiem. Przytem stwierdził pan Józef, że Czemscy należą do szlachty najlepszego gatunku, tej, która przez ciężkie ostatnie stulecie poczuwała się bardziej do obowiązków względem społeczeństwa, niż do prerogatyw i do ciągnięcia z nich zysków osobistych. Jeżeli ma się poczynać nowa Polska, począć się musi od

tych, którzy się jej krwią, poświęceniem i pracą zasłużyli, więc przykład od Czemskich, czy oni tam są ze szlachty, czy z łyków — — Dobrze jednak, że są szlachta — — dodawał w myśli pan Józef.

Broniecki, z usposobienia jeszcze młody, miał i tę cechę młodości umysłu, że wciąż wdychał z życia naukę, zapalał się do postępu, nie przywiązując się zbyt uparcie do półwiecznego blisko doświadczenia. Zbyt radykalnej demokracji opierała się jego rogata szlachecka natura, rozpieszczona dobrobytem, skłonna do używania preponderencji w społeczeństwie, do protegowania i naczelnictwa, ale zdrowy instynkt obywatelski nakazywał mu także cenić każdą osobistość użyteczną dla sprawy ogólnej, szanować dobrą wolę cudzą, choćby niezupełnie zgodną z jego dążeniami. — I z ostatniej podróży do Lublina przywiózł sobie nową podniechęć do ścisłego zbratania się ze wszystkimi rodakami, pracującymi dla przyszłości ojczyzny, bez względu na sfery, partye i koterye.

— Taki doktor Czemski — opowiadał z zapalem na obiedzie u pani Obichowskiej — to luminarz prowincjonalny, moi drodzy. Rozum tęgi, jeszcze tęższa gęba; kultura ogromna — ma zbiory muzealne, własny dom tak postawiony, że mu się przed oknami cały Lublin pod stopki ściele. W poczekalni tłumi! — ledwim się przecisnął. Lekarz sławny od Uralu aż po Atlantyk. A jak gada o sprawach krajowych, dość wam powiedzieć, że ja ledwie języka w gębie nie zapomniał. Zawarłem z nim przymierze.



Pan Józef koloryzował trochę jaskrawo, ale w najlepszym zamiarze: zwalczyć chciał wyraźne uprzedzenia pani Rozalii.

— Jednak to ludzie nie z naszego towarzystwa — mówiła dama.

— Szlachta, siostruniu! ni mniej, ni więcej, tylko Nałęcz — jak Małachowscy! Ojciec Tomasz był naczelnikiem partyi w powstaniu, a dziad pułkownikiem i przyjacielem księcia Józefa Poniatowskiego.

— Skądże te wiadomości, o których nikt nigdy nie słyszał?

— Jedź ze mną do Lublina, Rozalko; zaprowadzę cię do doktora i pokażę te wszystkie patenty, szable, mundury.

— A dajże mi pokój! co mnie to obchodzi?

— To dłaczegoż postponujesz zacnego doktora, mego przyjaciela?

— Nie postponuję. Znam tylko jego syna, który ma dziwne maniere. Wyobraź sobie, że na którymś czwartku, zobaczywszy na srebrze herb nasz, Wieniawę, z głową byka w tarczy, zapytał, czyśmy to dostali za wzorową oborę! Zosi bardzo się to nie podobało.

— Ależ nie tak było, cioteczko! — zawołała Mańka — Powiedz, Zosiu, że nie tak — —

— Nie pamiętam — odrzekła Zosia, wzruszając ramionami.

— Studenckie figle! — łagodził Broniecki — trochę nawet za dziecinne dla pana Stefana. Za figle też w kozie siedzi.

— Tatusiu! przecie za oświatę ludową!

— Daj mi gadać, Maniuś! Nie zrobię krzywdy żadnemu Czemskiemu. Chciałbym, owszem, wydobyć pana Stefana z pod klucza.

Manieczka umilkła, a pan Józef ujął wypielegnowaną rączkę pani Rozalii i mówił:

— Siostrunia jest anielską istotą — sama nam pomoże do uwolnienia Stefana Czemskiego?

— Ja?!... nie widzę, jakim sposobem?

— Znasz księcia Dołgorukiego...

— Bardzo mało. — — Ale poczekajcie! znam jedną damę wpływową...

Spojrzeli wszyscy przyjaźnie na panią Rozalię, która odrazu zapomniiała o swej niechęci do Czemskiego, gdy chodziło o ratowanie go z nieszczęścia.

DCN.

Młodość panny Mani.

2

Powieść.

Pewnego razu, już po wyjściu Ziuty, przy ostatnich wskazówkach co do zadanej na jutro lekcji — wpadło naraz do głowy rozpalonemu sąsiedztwem jej ciała przez cały ciąg godziny, aby, naśladując pannę Manię, zakręcić w mig knot lampy...

I wśród ciemności, bez zamienienia z nią ani jednego miłosnego słowa, przytuliwszy konwulsyjnie dziewczę jej piersi najściślej żelaznym uściskiem swoich wielkich gorących rąk, począł przelewać ze swoich warg w spazmatycznie zanurzające się potulne jej wargi ognistą lawę dyszących pocałunków...

I boski ten ogień wszechpotężnej, żywiołowej rozkoszy zmienił swoim płomieniem wszystkie zasady ambitnej pani, wstyd i dumę w coś tak niezwykle wąskiego, w proch, w perzynę, w coś, co wogóle nie istnieje...

I ani spostrzegli, kiedy z otworzonych drzwi wybiegło stłumione „ach“ przerażonej panny Loli, wiecznie politykującej typowej biednej krewnej, pragnącej bez narażania się nikomu przypodobać się jednocześnie wszystkim, a nie wiedzącej teraz, co z tym fantem zrobić.

Po chwili wahania uważała jednak za konieczne zawiadomić o zdarzeniu panią Sokołowską.

— Co ty mówisz? — oburzyła się pani Sokołowska. — Twój protegowany korepetytor ośmiela się romansować z Ziutą?

— Ależ nie z Ziutą...

— Z Ziutą, powiadam ci — roila coś w myślach pani Sokołowska z genialnym kobiecym błyskiem natchnienia w oczach. — Przecież nie może być mowy o takim dzieciaku, jak Mania? To jest nonsens.

— Może to była Ziuta — politykowała uboga krewna.

— Dziwię się nawet, jak to inne przywidzenie mogło ci przyjść do głowy! To była Ziuta. Dawno ją posądzałam o ukryte uczucia — zaimprowizowała napoczekaniu. — To ona! Bez gadania! Ona! — zdecydowała już bez apelacji.

— Tak, tak. To była Ziuta — potwierdziła z mądrym, uchwyconym w lot domysłem układna panna Lola.

I w ten sposób zdecydowały za poruszeniem grubego palca o całym życiu trojga ludzi.

Poczęto nacierać na pannę Ziętę tak energicznie, że aż odechciało jej się przeczyć. I, sugestyonowana genialną pieśnią bez słów utworu matki, przyznała się w końcu do pewnych uczuć, które żywi oddawna w swoim sercu dla pana Pławińskiego.

O istnieniu zaś prawdziwej bohaterki - winowajczyni, chowającej się obecnie, jak trusia, po kątach, zupełnie zapomniano.

Rodzice w zamkniętym gabinecie wszczęli sam-na-sam walną naradę.

— Człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi. —

Ostatecznie, w braku lepszych konkurentów, przy bardzo niewielkim posagu i przy bardzo niepewnej, wobec zmniejszającej się z powodu starości praktyki, rencie — ten młokos jest wcale nie odrzucenia.

— Wprawdzie wydawać pannę za studenta - korepetytora nie brzmi to bardzo świetnie i nie wzbudza zawiści „świata“.

— Tak. Lecz za rok, który prędko minie, ten młokos będzie lekarzem; przy protekcji starszego kolegi-teścia może prędko klientelę sobie wyrobić.

— Trudno! Na bezrybiu i rak ryba — powracali do starej piosenki.

— Naturalnie. Mania dorasta i w korcu maku konkurentów przebierać nie można.

I, ostatecznie, zaproszonemu bardzo uroczyście na poufną pogawędkę Niutkowi oświadczono, że wprawdzie rodzice panny powinni byli wzbudzić w nim tyle zaufania, aby, dawnym zwyczajem, oni pierwsi dowiedzieli się o jego zamiarach, lecz, wobec nowych poglądów młodego pokolenia, przebaczą mu i na związek jego z Ziutą zezwalają.

Na urządzenie apartamentu, na upominki, kwiaty i wyekwipowanie się jego (wobec tego, że nie wypada składać wizyt i konkurować w mundurku studenta) wreszcie na podróż poślubną po ostatecznym egzaminie do Paryża, w którym młody lekarz powinien poznać zachodnie kliniki i obrać sobie jakąś specjalność — stary przeznacza pięć tysięcy rubli, z których tysiąc oddaje mu zaraz do dyspozycji.

— Kocham pannę Ziętę — usłyszała panna Mania z drugiego pokoju drżący głos zawstydzonego Niutka — i uważam te wszystkie sprawy za zbyt cenne.

— Nie, nie — upierał się ojciec — musisz pan być w to wszystko wtajemniczonym. Niezależnie od tej sumy, aby umożliwić panu przyzwoite istnienie przed wyrobieniem sobie praktyki — obowiązuję się wypłacać wam nadal roczną rentę w kwocie dwóch tysięcy rubli.

Niutek wyszedł z gabinetu oszołomiony. Miał ochotę skakać do góry. Ledwie powstrzymał się, aby staremu rąk nie ucałować. Podróż do

Paryża, nowa garderoba, apartament urządzony! To wszystko wydawało mu się bajką z tysiąca i jednej nocy.

I ta młoda, przystojna żonka u boku, i ci zamożni rodzice w pięknym lokalu, guwernantka, służba, ekwipaż, protekcja renomowanego teścia!

Dobry koleżka, zdrow, jak rydz, pogodny i młody, bez atomu życia wewnętrznego, wyrutynowany w obkucaniu bez tremy egzaminów, w wiecznych łatwych miłostkach i burzowskich hulankach — uważał całe swoje dotychczasowe życie za raj na ziemi z jedynym cierniem, brakiem gotówki na podzelowanie butów, na papierosy i na pomarańcze dla swoich sąsiadek.

Teraz, kiedy i ten jedyny kłopot ustanie — nie wyobrażał sobie piękniejszego planety. Uśmiechał się sam do siebie i gwizdał z uciechy od rana do wieczora.

A więc skończy się już ta studencka nędza! Był teraz pewnym, że nawet woli starszą siostrę od młodszej. Tamten dzieciak działał mu jedynie na zmysły; lecz dość już nakochał się na czwartaku! Ziuta stanowczo jest bardziej dystygowana i lepiej ułożona, bardziej na swoim miejscu, taktowniejszą i zgrabniejszą. Stanowczo będzie idealną żoną. Stanowczo kocha ją i jest szczęśliwy tak, jak nie marzył nigdy.

Wszystko poszło mu, jak z płatka. Nie wiedział, czem i w jaki sposób zwyciężył odrazu cały dom i całe jej otoczenie.

To był tryumf jego młodości. Poza to, według określenia Ziuty, najmniej z całego domu nim zachwyconej, nie był wcale interesującym, nie wyższym od przeciętnego kancelisty, urzędnika.

Zapracowany wyłącznie anatomią i korepetycjami, zajmował się na wety życia jedynie swojemi sąsiadkami z czwartaka. Nie miał najmniejszego pojęcia o literaturze, poezji, teatrze i sztuce. Nie bywał nigdy ani w Rozmaitościach, ani w Zachęcie. Ta ignorancja jego nieraz aż raziła w salonie.

A pomimo to z wejściem jego do ich domu całe życie rodzinne zmieniło się nie do poznania. Niutek nie był owym męczącym konkurentem, epuzerem seryo, mającym całodzienne zajęcia, a przychodzącym jedynie wieczorami z urzędowymi różami lub cukierkami i uwodzącym narzeczoną statecznie po pół godziny przez wieczór z dokładnym zdawaniem sobie sprawy z terminu, dzielącego do dnia ślubu.

Niutek, po prędkim zaklimatyzowaniu się, wniósł do domu starych czarujący wszystkich urok młodości syna, który spadł nagle z obłoków z rozbijającym najobojetniejszych humorem, swobodą i werwą. Cały babieniec w postaci matki, córek, francuzki, panny Loli, pokojówki, kucharki — wszystkie oczyma za nim wo-

dziły i uśmiechały się, kiedy tylko przemówił.

Zdawało się, że najtrudniej przyjdzie mu uwieść przyszłą *belmerę*. Pani Sokołowska zgadzała się z niedawnym określeniem panny Mani, że w domu nic tak nie przeszkadza, jak mężczyzna.

Ten przeszło 60-letni mąż, z chwilą, kiedy sypialnie małżeńskie były już oddawna rozdzielone, stał się dla żony już jedynie tylko nudnym bratem i gderliwym opiekunem; poprostu, ciążył w domu swoją odrębnością duchową płci, obcością swego umysłu, swymi gustami, fajką z rozrzucanym wszędzie popiołem, kaszlem, nieporządkiem i najzupełniejszym brakiem zmysłu oryentowania się w plotkach kumoszek i w komerażach towarzyskich, jakgdyby był z zupełnie innej gliny i z innego planety. Tembardziej, kiedy znać było, jak umysł jego z czasem tępał, pamięć się psuła, humor pogarszał, a kaszel i mania gderania wciąż wzrastały.

I cały dom, sugestyonowany przez nią, choć — rzecz prosta — tatusia bardzo kochał, lecz czuł się najlepiej, kiedy tatusia w domu niema.

I panna Mania, choć ojca szczerze kochała, nieraz kokietowała matkę:

— Tatusia dziś wieczorem nie będzie! Cóż za radość być raz w domu bez mężczyzny!

— Zabraniam ci wyrażać się w ten sposób o ojcu — gromiła ją zachwycona tym conceptem matka.

I po zaręczynach Ziuty pani Sokołowska wdzychała:

— Mało było tego dymu na firrankach! Jeszcze jeden mężczyzna w domu! Ha! Trudno! kiedy się ma córki!

Tymczasem ten pogodny Niutek ze swoimi conceptami studenckimi nietylko że nie był straszny, lecz był, o, dziwo! bardzo miły: Nie zrzędził, nie palił fajki, nie kasał. I pani Sokołowska, wdzięczna mu za tę niespodziankę, była w siódmym niebie. Od rana nuciła pod nosem jakieś stare piosenki. Ubierała się bardzo starannie. A czasami miewała uczucie, jakgdyby to ona była młoda narzeczona. I częściej, niż należało, całowała go po głowie i ścisłała go za ręce, i częściej, niż na matkę przystało, oglądała ukradkiem jego świeżą fotografię.

Była przekonana, że czyni to wszystko z miłości dla Ziuty, której jednak zbyt często zarzucała, że ona nie jest warta takiego męża.

A Ziuta, jeszcze wtedy poważna i małowówna, uśmiechała się bardzo zadowolona i dumna, czując, że ten ideał całego domu ostatecznie do niej wyłącznie należy, że ona jest bohaterką, a cały dom jeno podrzędniemi figurami, epizodami.

Nawet ojciec pod wpływem tego nastroju, zasugestyonowany, na rękach go nosił.

Lecz za najbardziej szczęśliwą ze wszystkich uważała się panna Mania: Spadł jej z sumienia wielki kamień. Cała tajemnica jej upadku (tak dramatyzowała w myśli swoje haniebne poufałości z obcym zupełnie mężczyzną) była zatarta tak pomyślnie, że lepiej wymarzyć nie można było. Fakt tem pomyślniejszy, iż domyślała się z finezyi zagadkowych uśmiechów otoczenia, że wszyscy wiedzą o całej minionej awanturze. Teraz co innego; on nie był już obcym; należał do rodziny. I panna Mania czuła, iż, zawdzięczając rozmowi matki, jest ocaloną, i nocami popłakiwała, przekonana, że to ze szczęścia, z radości...

Jedynie raz wymknął jej się źle stłumiony, niedyskretny jęk, który sprowadził śród nocy do jej łóżka matkę.

— Co ci jest, moje dziecko? — badała oględnie, nieciekawa tajemnicy, która była dla niej jawną.

— Nic mi nie jest. To ze szczęścia, mammo; doprawdy, jestem taka wdzięczna... — chciała dodać: „za twój rozum, któremu winnam ocalenie“.

— Jesteśmy wszyscy niebu wdzięczni za szczęście, które spotkało Ziutę — dokończyła matka, tuląc córkę do swoich piersi. Ucałowały się z całego serca.

I panna Mania jaśniała teraz całą pełnią swego humoru. Przekomarzała się ze swoim przyszłym szwagrem (nie był on już korepetytorem, ponieważ Ziuta dała za wygraną ze swoim patentem nauczycielskim), kombinowała różne figle i bawiła się, jak zarzuconą niedawno lalką.

Przykrym był jej jedynie zarzut Ziuty, iż on nie jest interesującym. Panna Mania uważała wprost przeciwnie (wolno przecież oceniać sprawiedliwie rodzzonego szwagra!), że jest on wyjątkowo zacnym, dobrym, usłużnym, jak nikt w świecie, pogodnym i miłym. Przekonała się na wspólnej wycieczce zamiejskiej, że jest także niezwykle muzykalnym: młodym, pięknym, choć nieuczonym głosem zapamiętywa całe arye, bezcenne stare dumki i pieśni...

A więc drga w jego duszy to drugie życie wewnętrzne, kłębią się żywiołowo w jego piersiach te głębsze i pełniejsze radości i bóle istnienia, które nie potrafi lub nie chce paradować w salonie w kabotyńskim udrapowaniu. I zarzucała w myśli siostrze:

— Paradna sobie! komu to mówić o braku duszy i cienkości umysłu! Rzecz prosta! Zarzucamy zwykle bliźnim te wady, które sami posiadamy.

DCN.



Rozmówki warszawskie.

Co zrobić z Klimcią?

Bardzo przeciętne mieszkanie skromnego urzędnika polskiej instytucji kredytowej: jest więc salon, na który przeznaczono najpiękniejszy i najobszerniejszy z trzech pokoiów, ponieważ bardzo trudno pomieścić się rodzinie w pozostałych dwóch szczuplutkich pokoikach, przeto Klimcia, najstarsza z latorośli, sypia w owym salonie. Łóżka tu, oczywiście, nie widać, i Klimcia wogóle swego łóżka nie posiada; tylko na noc zestawia do kupy sześć krzesełek, — salonowych krzesełek, z miękkim siedzeniem, z rzeźbionym drzewem i z aksamitnym pokryciem, — i owe krzeselka związaje chusteczkami już zebrudzonemi. Na to kładzie się siennik, prześcieradło, poduszkę i kołdrę.

KLIMCIA skończyła dwa lata temu pensję. Od tego czasu — niewiadomo, co z nią zrobić. OJCIEC postarał się jej o posadę w jakimś biurze, z którego jednak Klimcię wywleki wkrótce, ponieważ powiedziała szefowi, na robione jej uwagi w sprawie popełnionych omyłek, że: — Prawdę powiedziawszy, to mnie to nic nie obchodzi...

MATKA miała swoją ideę, bardzo prostą, — żeby Klimcia poszła do jakiego sklepu za ekspedjentkę albo kasyerkę. Ale ta idea Klimci nie przemówiła do przekonania.

— O, moja mammo, ja sklepówką nie będę...

Ojciec zresztą ją poparł:

— Wydało się tyle pieniędzy, żeby dziewczyna otrzymała edukację, jak się patrzy?! Umie grać na fortepianie i książkę francuską przeczyta, choć nie wszystko z niej zrozumie! I iść na sklepówkę?!

Matka, dzielna kobieta i prosta w duszy, myśli:

— Toć lepiej, aniżeli baki zbijać po całych dniach...

Klimcia istotnie po całych dniach zbija baki. Nic nie robi i, jak wszyscy klasyczni próźniacy, nie ma na nic czasu. Jeżeli się jej powierzy najłżejszy z obowiązków, można będzie iść o gruby zakład, iż on pozostanie niewypełniony, z całą pewnością wygrania. Gdy idzie o zrobienie komuś jakiejś usługi, o wyświadczenie komuś jakiejś grzeczności, nigdy nie można być pewnym, czy Klimci nie zabraknie na to — czasu. Tak, czasu. Nie podejmuję się wytłomaczyć: jak to jest? Ale ręczę za autentyczność faktu.

Co Klimcia robi po całych dniach?

Ubiera się. Zmienia książki w czytelni i zmienione czyta. Odwiedza dawne koleżanki z pensji i nowe przyjaciółki. Pisze listy do tych, które wyjechały na prowincję, — listy, zresztą, prawie zawsze spóźnione. Lubiła by się stroić, gdyby miała na to. Ale nie ma. Jednak robi w tym kierunku, co może. Lubiłaby chodzić codzień do teatru, ale chodzi czasem tylko, ponieważ ojczulek ma bardzo mało pieniędzy wogóle i rzadko coś się okroi na przyjemności, — a, jak to nazywa mama, „na zbytki“...

Poszłaby Klimcia, oczywiście, za mąż.

Ale jest brzydka.

Nikt nie kupi, nikt nie potarguje nawet...

Wstąpiłaby Klimcia do teatru.

Ale jest brzydka.

Jeden tylko dyrektor gotów był ją zaangażować, — do chórow, i to bez

pensyi. Pertraktacje odbyły się w wielkiej tajemnicy, przy pomocy mającej w sferach artystycznych stosunki koleżanki. Ah! gdyby się tak mama o całej tej historii dowiedziała! Byłby bal! Bo o tatę — to tam mniejsza.

Taka jest Klimcia. I taką jej sytuacja. Nie do pozazdroszczenia...

O Klimci i jej sytuacji często rozmawiają ze sobą mama z tatą.

Mama ma brzydki zwyczaj skarżenia się na Klimcię:

— Żeby mi to choć chciało pomagać w gospodarstwie!

Jednak to ani o tem pomyśli...

Papa jest mężem, o wzroku dalej w przyszłość się śrubującym.

— Co tam pomoc w gospodarstwie?! Idzie o to, co z dziewczyną zrobić, ostatecznie... Skończyła pensję. Ciągnąłem się. Tyle pieniędzy poszło na to. I oto dziewczyna siedzi i starzeje się... Aż mi głowa pęka...

...Jednak pewnego razu zjawia się ciocia KLOCIA, bardzo żywa, energiczna, bystra, sprytna ciocia, która zna nienajgorzej życie i po zagranicy też podróżowała. Stosunki z tą ciocią jakoś z powodu samego oddalenia były osłabły. Lat szereg się nie widywano. Teraz, za powrotem cioci na stałe do kraju, znowu się te stosunki jakoś szczęśliwie odnowiły.

Po paru wizytach ciocia Klocia doskonale już się obznajmiła z uzdolnieniami, z zamiłowaniem i wogóle z sytuacją Klimci.

Zapytała więc jednego razu ze zwykłą swą obcesowością:

— I cóż wy, ostatecznie, z tą dziewczyną będziecie robić?

Mama załamała ręce, jak w teatrze na dramacie, i odrzekła tylko cichem, niemniej wymownem:

— Ah!...

Tata odpowiedział z irytacją w głosie:

— Chciałbym, doprawdy, żeby mi to kto powiedział?!

Na to ciocia Klocia w niespodziewany sposób odrzekła, zawsze ze zwykłą swą stanowczością:

— To ja wam powiem...

Tata i mama spojrzeli w nią, jak w tęczę.

— Zróbcie jeszcze jedną ofiarę dla jej przyszłości — i poślijcie ją na uniwersytet... Na zagraniczny uniwersytet...

Tata się zachnął.

— Ależ dziewczyna zawsze niecierpiała nauki. Nie wyobrazisz sobie, ile trzeba było trudu ponieść, żeby lekcje odrobiła... I zresztą, cóż z tego, jak skoczy uniwersytet? Na nauczycielkę pójdzie, czy na lekarkę? To wszystko nie dla niej. Dziewczyna ma taki temperament, że żadna praca jej nie pociągnie, a przynajmniej nie zatrzyma jej dłużej. Brzydzi się nią, poprostu. Ot, jedynem dla niej wyjściem — byłoby zamażpójście, czyli znalezienie jakiego obcego a głupiego człowieka, który by podjął się, wobec Boga i społeczeństwa, pracować na nią, zaspakajając wszystkie jej potrzeby, nawet fantazy, przynajmniej drobne, i nie wzamian za to by nie żądał, a przynajmniej nie otrzymywał. Ale cóż. Klimci natura poskapila urody i to, doprawdy, nie rozumiem czemu, ponieważ my oboje, a zwłaszcza ja, nie chwalący się...

Wtedy ciocia Klocia wyłożyła swój projekt:

— O to właśnie idzie. O to tylko. Poznałam dobrze to drogie dziecko i

wiem, że koniecznie potrzebuje ono bezinteresownego dostawcy wszystkich życiowych dóbr, o które sama nie jest w stanie w najmniejszym stopniu się postarać. Trzeba jej męża. Otóż, wierząc mi, nigdzie brzydka panna nie ma tylu szans do wyjścia za męża, co na zagranicznym uniwersytecie. Różne mamy dobrze o tem wiedzą i z powodzeniem to praktykują. Tam to, na obczyźnie dalekiej a niewdzięcznej, — gdzie społeczeństwo obce przybyszowi się dziwi i trzyma odeń zdaleka, — gdzie niema pieniędzy na rozrywki, ani na rozkosze, — gdzie zimne, obce powietrze rodzi w duszy młodego chłopca tęsknoty i melancholie o wysokiem napięciu, — tam to zbliżenie czule, na gruncie poetycznym, wolne od wszelkich myśli interesownych, łatwiejsze jest i prędze. Rodaczka?! Polka?! Już to samo mówi do szlachetniejszego serca językiem, czaru i uroku pełnym. A do tego przychodzi jeszcze pewne rewolucyjne usposobienie, rodzaj odry studenckiej, która w małżeństwie nie widzi nic tak strasznie doniosłego, ani uroczystego, ani zobowiązującego na całe życie. Taki student z całą prostotą i naiwnością szeptać będzie swej narzeczonej: „a jak się sobie sprzykrzemy, no, to się cicho, ładnie, po przyjacielsku rozejdziemy w dwie strony świata: czy nie?” Ani do głowy mu nie przyjdzie, że biedak jarmuzem dożyłownie obleka na siebie.

Mama słuchała tego z szeroko otwartymi oczami. Tata, który ma w sobie coś ze spryciarza, uśmiezek subtelny powołał na usta.

Ciocia Klocia peroruje:

— Ileż to panien na sto, z tych, które wywędrowały do Genewy, Lozanny, Paryża, Bernu, Montpelier, kończy studia uniwersyteckie? Ileż dochodzi do doktorskiego, do licencyackiego stopnia? Jedna na dziesięć. I to suto liczę. Część wraca do domu bez innego rezultatu, jak tylko wprawienie się w obcy język i przetrzęsienie po szerszym świecie. Cztery na dziesięć zaś złapały tam męża, może nawet pięć, i sześć, i siedem na dziesięć. Znam takie straszdyła, które w kraju musiałyby siać rutkę z konieczności, a które umiały się prędko wydać za męża, mając do rozporządzenia laboratorya i audytorya uniwersyteckie. Narazie to ma pozór idylli. Wychodzi się za ubogiego studenta. Ale ten student z czasem zostaje dyrektorem fabryki — i oto zrobiło się karyerę.

Ciocia Klocia puściła się nawet na filozofię socyalną:

— Wszystko się zmienia, więc i sposoby łapania sobie męża także musiały podlegz ewolucyi...

Potwierdziła wkońcu:

— Nie powinno się wymyślać na wyższe wykształcenie kobiet. Uniwersytety także mają swoje dobre strony...

B. Młodywul.

E. M. Dell.

SZLAKIEM ORŁA.

Przekład z angielskiego H. J. P.

13

Tkliwość jego głosu, ta nagła zmiana w postępowaniu, to rozwianie się jej obaw, wszystko to sprawiło jej tak ogromną i nieoczekiwaną ulgę, że biedna Muriel straciła wszelką moc panowania nad sobą. Położyła głowę na poduszkach otomany i wybuchnęła niepohamowanym płaczem.

Nick gładził ją wciąż delikatnie, ale dał jej się wypłakać swobodnie. Dopiero, gdy zaczęła się uspokajać, pochylił się nad nią jeszcze niżej i osuszył jej łzy własną chustką, a gdy to uczynił, usta drżały mu i mrugał oczami tak szybko, że niepodobieństwem było pochwycić ich wyraz.

— No, no, już dobrze — wymówił wreszcie. — Niema czego płakać. Dokończ, coś mi zaczęła mówić, gdym ci przerwał. O ile mogę wywnioskować, dawałaś mi odprawę i miałaś mi powiedzieć, dlaczego.

Ton jego brzmiał uspokajająco, niemal żartobliwie.

Podniósłszy oczy, Muriel ujrzała na jego twarzy zwykły łagodnie drwiący wyraz. Odważemnił jej spojrzenie porozumiewawczem mrugnięciem.

— Tylko śmiało — rzekł — prosto w cel. Sprzykrzyłem ci się?

Odsunęła się zlekka od niego, ale bez odrazy.

— Sprzykrzyło mi się wszystko, wszystko! — odparła z drżeniem w głosie i jakby namiętną skargą. — Och! czemu nie dałeś mi umrzeć!

— Czy o to chodzi? — rzekł Nick. Usiadł na wałku otomany i zagłębił ściśniętą pięść w poduszkę. — Wytłómaczyłbym ci niejedno. Ale z ciebie takie trwożne kurczątko; lada czem spłoszyć cię można. Odkądże to masz o to ze mną na pieńku?

Mówił wciąż żartobliwie, Muriel jednak rozumiała, że z nim żartować nie można; zresztą nie miała po temu najłżejszej chęci. Odrzekła mu z rodzajem nagłego oburzenia, sama dobrze nie wiedząc, skąd jej się ono wzięło.

— Nie mam z tobą wcale na pieńku. Nie jestem tak niedorzeczna. To zupełnie co innego.

— Nie sprzykrzyłem ci się? — zapytał Nick.

— Nie.

— Gdybym naprzykład umarł jutro — a wiesz, że o to łatwo, Muriel, — byłoby ci trochę przykro?

I znowu, nie wiedząc czemu, uczuła się dotkniętą tem pytaniem.

— Dlaczego mnie o to pytasz?

Oczywiście, że byłoby mi przykro.

— Oczywiście! — potwierdził Nick, — ale niczyja przykrość na świecie nie zdołałaby mnie wskrziesić. To jest słaba strona nas, biednych śmiertelników. Nie możemy tańczyć na własnym pogrzebie.

— Do czego ty zmierzasz? — zapytała Muriel z rozdrażnieniem.

— Do tego — odpowiedział z niezachwianą pogodą, — że można się wściec, pomyślawszy, iż ktoś będzie wylewał drogocenne łzy na naszym grobie, a my nie będziemy mogli tego widzieć. Zastanawiałem się nieraz nad tem, dlaczego zazdrosny los ani rusz nie chce nam udzielić biletu wejścia na podobne widowisko. Dla mnie łzy takie byłyby nieocenione.

Muriel poruszyła się niecierpliwie. Poco on to wszystko mówił!

On zaś ciągnął dalej w tym samym tonie, tak przeobrażony i niepodobny do samego siebie z przed kilku minut, ta jego metamorfoza wydawać się mogła i graszką wyobraźni.

— Nie sprzykrzyłem ci się tedy; wylałabyś odpowiednią ilość łez, gdybym umarł młodo. Tak; jestem młody, pomimo mojej brzydoty. Może wyobrażasz sobie, że zachodzi pomiędzy nami jakieś pokrewieństwo? Czy dlatego nie chcesz zostać moją żoną?

Zadał jej to pytanie tak nagle, że Muriel znów spojrzała na niego z budzącą się obawą, ale uspokoiła się natychmiast. Nick miał minę psotnego sztubaka. Mimo to, czuła instynktownie, że on ją w jakiś nieuchwytny dla niej sposób doświadcza.

— Nie — odparła po chwili. — Żadna z tych przyczyn.

— A jesteś pewną, że jakaś przyczyna istnieje? — zapytał drwiąco.

Zarumieniała się gwałtownie.

— Oczywiście, że istnieje. Ale, wołałabym ci nie mówić.

— Właśnie — przytaknął Nick. — To jest zupełnie w porządku.

Muriel uczuła się niewystawienie zawstydzoną.

— Powiem ci, jeżeli chcesz, — odrzekła niechętnie. — Ale wołałabym nie mówić.

Nick uczynił ruch lekceważący.

— Ależ za nic na świecie! Po co? Ja wiem, bez tego, co się stało. Oto coś w tym rodzaju:

Przesunął ręką po twarzy i zwrócił się ku niej z uśmiechem, tak uderzająco lady Bassett przypominającym, że Muriel aż się zachnęła, porwana nagłą chęcią do śmiechu.

Uciszył ją, zaczynając mówić słodziutkim, miarkowanym głosem:

— Powiem ci, najdroższa Muriel, że nie mogłam sobie nigdy wyobrazić Mikołaja Ratecliffa żonatym. To taki płochy motyl! (To z pobłażliwym wstrząśnięciem głową). Tak! tak! Kochana pani Gybbon Smythe opowiada niestworzone rzeczy o jego flirtach. Inni znów mówią, że lubi zaglądać do kieliszka, ale to zapewne przesada. To tylko pewna, że ma nadzwyczaj gwałtowny charakter, więc stąd i taka plotka. Bo, co do tej gwałtowności, to, niestety, kochanie, mówię ci, że to straszny człowiek. Ale nie powiem już nic więcej; mogłabyś myśleć, że jestem do niego uprzedzoną, a tymczasem ma się wprost przeciwnie; żywię dla niego najszczerszą przyjaźń, ale to najszczerszą przyjaźń. Poczytywałam sobie tylko za obowiązek ostrzedz cię, abyś sobie nie obiecywała zbyt wiele po tem małżeństwie. Niedoświadczone dziewczęta często popełniają ten błąd, a ja bym tak pragnęła widzieć cię szczęśliwą, biedne, drogie dziecko!

Muriel zanosila się niepohamowanym, nerwowym śmiechem. Było coś tak skończenie doskonałego, tak ludzaco prawdziwego, bez żadnej przesady w tem jego naśladowaniu głosu i sposobu mówienia!

Ale Nick nie śmiał się z nią razem. Z po za maski żartobliwości badał ją z natężeniem. Haczykiem kpin wyciągnąć chciał z niej prawdę. Może domyśliła się tego, bo było znów coś w półpytającego, w półwystraszonego w spojrzeniu, jakie mu rzuciła, gdy powściągnąwszy się, odparła:

— Nie, Nicku. Lady Bassett nie mówiła mi tego. Nie uważałabym na jej gadaninę. — To tylko... tylko...

— Wiem — przerwał jej nagle. — Jeżeli nie to, w takim razie mogła być jedna rzecz tylko. Nie potrzebujesz mi mówić. To jest dla mnie jasne, jak słońce. Pozwól, że ja ci to powiem. Odsuwasz mnie przez źle zrozumianą, marną, osobistą dumę. Wiem, wiem. Rzucono na ciebie błotem i to przyłgnęło. Wołałabyś raczej umrzeć, niż zostać moją żoną. Prawda? Ale

co zrobisz, jeżeli ja cię nie puszczę?

Muriel stanęła cała w pasach.

— Ty... ty tego nie uczynisz, Nicku! Nie!... ty byś nie mógł. Nie masz prawa!

— Czyż? — rzekł Nick z dziwnym uśmiechem. — Zdawało mi się, że mam.

Spojrzał na nią i jakiś szczególny, zły płomień zamigotał w jego oczach i zgasł natychmiast.

— Zdawało mi się, że mam — powtórzył, już zupełnie innym tonem. — Ale nie będziemy się o to sprzeczać. Powiedz mi, co chciałabyś zrobić?

Odpowiedziała mu z uniesieniem, którego się po niej nie spodziewał.

— Och! chciałabym wyjechać... wyjechać stąd na zawsze. Chciałabym wrócić do Anglii... Nienawidzę tych stron.

— I wszystkich ich mieszkańców — poddał Nick.

— Prawie — odrzekła Muriel niemal wyzywająco. Walczyła o swoją wolność, a walka była nieskończenie cięższą, niż przypuszczała.

Nick skłonił się.

— Wyjawszy panią Musgrave, nieprawdaż? Czy wiesz, że pani Musgrave wraca do Anglii? Chciałabyś z nią pojechać?

Muriel spojrzała na niego z nagłym ożywieniem.

— Z nią samą? — rzekła.

— O! ja nie jadę — oświadczył Nick. — Ja jadę do Khatmandu na miodowe miesiące.

Oczy Muriel przygasły.

— Nie... nie trzeba drwić ze mnie, Nicku, — rzekła zdławionym głosem. — Ja... ja tego znieść nie mogę.

— Drwić? — rzekł Nick. — Ja!

Przechylił się nagle i ujął jej rękę. Rubinowe ognie błyszcząły w pierścionku, jaki jej dał; a on przyglądał się im, zsuwając i wsuwając z wolna pierścionelek na drobny paluszek Muriel.

— Chcę cię prosić, abyś go wziął z powrotem, — rzekła Muriel.

Nie podniósł oczu.

— A ja chcę cię prosić, abyś go zatrzymała, — odpowiedział prędko. Nie potrzebujesz go nosić; po prostu miej go u siebie, jako przypomnienie obietnicy, którą mi dasz.

— Obietnicy? — wyjąkała Muriel.

On wciąż nie patrzył na nią. Przyglądał się rubinom zmrużonymi oczyma.

— Tak — odrzekł po chwili. — Zwróć ci słowo jedynie pod warunkiem, że mi dasz tę obietnicę.

Muriel poczęła znów drżeć.

— Cóż to takiego? — wyszeptowała.

Spojrzał na nią przelotnie, ale w jakiś zagadkowy sposób. Było to tak, jakgdyby wzrok jego spoczął gdzieś poza nią.

— Prostu to — rzekł. — Zapewne rozśmiejesz się z tego, ale jeżeli będziesz mogła rozśmiać się, to cię i ta obietnica kosztować nie będzie. Chcę, abyś mi dała słowo honoru, że jeżeli kiedykolwiek zmienisz postanowienie i zechcesz mnie zaślubić, przyjdiesz do mnie, jak na dzielną kobietę przystoi, i powiesz mi to.

Powiedział to spokojnie, a gdy oszołomiona milczała, w dalszym ciągu bawił się pierścionkiem, zdając się nie przywiązywać wielkiej wagi do jej odpowiedzi. Prostu, czekał na nią z nieodgadniwym wyrazem twarzy.

— Więc jakże? Zgoda? — zapytał wreszcie.

Drgnęła, cofnąwszy się mimowolnie.

— Och! nie, Nicku! Jakże mogę ci to obiecać. Wiesz przecie, że postanowienia swego nie zmienię.

Podniósł zlekka brwi.

— To kwestya nieprzesądzona. Ale, jeżeli uważasz tę ewentualność za niemożliwą, tem łatwiej możesz obiecać, o co proszę.

Przytrzymał jej rękę, choć usiłowała ją oswobodzić.

— Proszę cię, Nicku — rzekła z przejęciem. — Nie żądam tego odemnie.

Wstała wystraszona, a on wstał także, wciąż trzymając jej rękę. Twarz jego wyglądała, jak wykuta z żółtego granitu.

— Czy... czy... to konieczne? — wykrztusiła Muriel zdyszczanym głosem.

Popatrzył na nią z pod mrużących powiek.

— Powiedziałem — odparł.

Wahała się jeszcze chwilę. Ale przyszło jej na myśl, że niepotrzebnie tak się stracha. Przecież to będzie zupełnie zależnem od jej woli.

— Bardzo dobrze — rzekła wreszcie. — Przyrzekam. Ale... ale nigdy nie zmienię swego postanowienia, Nicku. Nigdy — nigdy!

Patrzył na nią wciąż zmrużonemi, nieodgadnionemi oczyma.

Zdawał się nie słyszeć jej zapewnień.

— Zrobiłaś, co do ciebie należy — rzekł, — a teraz wysłuchaj, co ja powiem. Przysięgam ci — przed Bogiem — że nie ożenię się z tobą nigdy, o ile sama tego nie zażadasz.

Przy tych słowach schylił się i uroczyście, ze czcią prawie, ucałował jej rękę.

Muriel stała wciąż nawpół wystraszona i zdjeta bezbrzeżnem zdumieniem. Nigdy jeszcze nie widziała go w takim nastroju.

Ale gdy się znów wyprostował, dawny, drwiący uśmiech igrał mu na ustach, i Muriel odetchnęła, jakby jej kamień spadł z piersi. Szybkim, pieszczotliwym ruchem Nick położył jej ręce na ramionach.

— Zatem, rzecz skończona — rzekł lekko. — Możesz odwrócić nową kartę. Wracaj do Anglii, wracaj na pensję i niech cię tam nauczą być znowu młodą.

To były jego ostatnie słowa. Jednakże czekał jeszcze chwilę, a w jej sercu bardzo głęboko, gdzieś na samem dnie, coś tam ukrytego poruszyło się i drgnęło, jak porusza się ślepe stworzenie pod dotknięciem promienia słońca. Sprawilo jej to jakiś nieokreślony ból, ale to było wszystko.

W chwilę potem Nick wykręcił się na pięcie i odszedł.

Muriel słyszała, jak nucił zciacha walca, oddalając się swym sprężystym, swobodnym krokiem. I pojęła, że postawiła na swym, ale, rzecz dziwna, nie uradowało ją to zbyt.

Na złe czy dobre, odszedł od niej, aby nigdy nie wrócić.

D. C. N. *Koniec części drugiej.*



Wiadomości literackie.

Z literatury francuskiej.

× *Gaston de Pawlowsky. „Voyages au pays de la quatrième dimension“.* („Podróże do krainy czwartego wymiaru“.) Autor, założyciel dziennika teatralnego w Paryżu *Comoedia* i krytyk, nazywa książkę swoją — i słusznie ponieważ — „próbą ucieczki w sfery idealne“. Idąc śladami Wells'a, skreślił p. Pawlowsky obrazy przyszłości jeszcze śmielsze, niż głośny powieściopisarz angielski, zaprawiając je wszelako często ironią. Tak np. każe wielkiemu uczoneму za lat sto dokonać odkrycia, że kawałek bawełny, zanurzony w oleju, może służyć do oświetlenia.

× *Juliusz Bonda. „L'ordination“.* Utalentowany młody autor, który stawał do konkursu o nagrodę akademii Goncourt'ów i bardziej na nią zasłużył tą powieścią, niż spółzawodnik jego, laureat Savignon, z niezwykłym bystremszym pogłębieniem psychologicznym przedsta-

wił kontrast między obowiązkami rodzinnymi a działalnością idealną uczonego. W pierwszej części powieści bohater opuszcza kochankę, która go zanadto absorbuje, albowiem pragnie, jak ksiądz który został wyświęcony, poświęcić się wyłącznie celom wyższemu. Wszelako w części drugiej spotykamy go, jako małżonka i ojca małej dziewczynki, albowiem uważa życie rodzinne bez namietności za najpewniejszą podstawę spokojnej pracy umysłowej. Ale przeliczył się i tym razem; dziecko bowiem wpada w chorobę i absorbuje najzupełniej czas rodziców. Książka przykuwa do ostatniej strony uwagę czytelnika.

× *Gyp. „Le grand coup“.* („Zamach“.) Hrabina de Martel de Mirabeau, pisząca, jak wiadomo, pod pseudonimem Gyp'a, pozostała wierna dialogowej formie w opowieściach swoich. Tym razem powraca utalentowana autorka do polityki, przyczem jednak zapartywania jej zmieniły się w sposób uderzający. Niegdyś monarchistka i reakcyonistka, wyszydza hr. Martel w ostatniej książce szaleństwa młodych rojalistów, którzy ciągle jeszcze przygotowują wielki zamach stanu, a zawsze kończą niedorzecznymi zawichrzeniami ulicznymi.

Z literatury szwedzkiej.

× *Gustaw Hellström. „Woźnice“.* Do Londynu prowadzi czytelnika swego autor szwedzki. Bohaterami jego są trzej woźnice, którzy, jeżdżąc po stolicy zjednoczonego królestwa, rozważają w myśli zasadnicze kwestye społeczne i w ciasnych ramach swego życia uczestniczą w wielkich przełomach socyalnych. I oni, jak wszyscy inni, łudzą się nadzieją, doznają zawodu, starzeją się, rozczarowani. Książka p. Hellströma, skąpa w treści, wykazuje autora, który pogłębia z miłością istotę ubogich duchem i żywo zajmuje się życiem „maluczkich“ tego świata.

Z literatury norweskiej.

× *Marcin Andersen Nexö. „Pelle, zdobywca“.* W dużym dwutomowym dziele, opowiada autor dzieje młodego Pellego Karlssona, który z Tommeilli przeniósł się na Bornholm, dokąd zabrał go ojciec, dziwak i oryginał. Tu otrzymuje stary pracę w wielkich dobrach w „Kamiennym Dworze“, a Pelle przeżywa lata dziecięce wśród „zgniętej atmosfery, panującej w pańskich siedzibach“. Dumny, uczciwy chłopiec zachował jednak prawość duchową w znieprawionem otoczeniu, dojrzał tylko przedwcześnie, nabył dużo doświadczenia i zostaje robotnikiem fabrycznym w mieście. W tomie pierwszym zajmuje się autor ludźmi i świetnie określa stan duchowy, tryb życia chłopów oraz robotników rolnych. W tomie drugim staje się już p. Nexö rzecznikiem sprawy społecznej, tendencya ujawnia się zbyt wyraźnie, a czytelnik może być niekiedy zniecierpliwiony wykładem przydługim poglądów, z kanzodziejską bezwzględnością narzucających. Niemniej są te dzieje „Pellego zdobywcy“ książką bardzo zajmującą i wartościową.

Z literatury włoskiej.

× *Lucyan Zuccoli. „Romanzi brevi“.* („Krótkie romanse“.) Śród powieściopisarzy włoskich p. Zuccoli z największą prawdą może odtwarza typy lekkomyślnej, powierzchownej, zmiennej kobiety włoskiej. Z ostatniego zbioru no-

LOKALE dla Banków, Kupców i Przemysłowców LOKALE

w najlepszym punkcie miasta **Nowo-Miodowa № 3** róg Senatorskiej i Junkierskiej, do wynajęcia od 1-go Lipca r. b. Lokal odpowiedni także na **zawiaranie, cukiernie** i t. p. — Na żądanie mogą być połączone 3 lokale piętrowe z dolnym sklepem, 4 wystawowymi oknami 9x9 i 4 okna 4x4 □ łokci, wielkość sal 520 □ łokci, mogą być rozdzielone według wymagań. Centralne ogrzewanie, 2 windy i wszelkie nowoczesne urządzenia.

Wiadomość na miejscu od 10 — 12-ej, lub u właściciela Z. Alberga, Marszałkowska 53 od 3 — 5 godz. Telefon 30-27.

Grand Café Versailles Bagatela № 12 Właściciele: Bracia Karczmarscy

róg Alei Szucha, BILARDY. TELEFON 210-46.

AKUSZERYJNY ZAKŁAD

akuszerki **M. RING**
I-go rzędu

urządzonej według tegoczesnych wymagań. Przyjmuje na czas dłuższy. Porady. Dyskrecya. Krucza 37-8.

7409— ZAKŁAD
Lecznicy dla przychodzących z chorobami żołądka i kiszek
Dra Tadeusza Wilczyńskiego
Al. Jerozolimska № 35. Tel 282-25, przyjęcia od 9—10 r., od 1—3 i 6—7 p.p.

Nauczycielka

z rządowym patentem domowej nauczycielki języka niemieckiego, poszukuje posady od roku szkolnego. Oferty: Księgarnia Regulskiej w Sosnowcu.

KRYM — JAŁTA

Pensjonat „Stella”
obecnie (odnowiony).

HELENY LISOWSKIEJ
Botkińska № 22
OTWARTY CAŁY ROK
Pokoje słoneczne z widokiem na morze, balkony, elektryczność, telefon, azienka, ogród i wszelkie wygody. Ceny przystępne.



ANUZOL
Wstrzeżać się od podrabiań. Marka zatwierdzona przez Rząd, przez Rząd, № 4530.
GEDEKE i S-ka.

PRAWDZIWI TYLKO W PUDEŁKU z PŁOMBĄ ROS. PAŃSTW. KOMORY CELNEJ.

DLA SZYBKIEGO, WYGODNEGO I NIEBOLESNEGO WYLECZENIA

HEMOROIDÓW

poleca się świecąc

ANUZOL.

Jest to środek wypróbowany, działający dobroczynnie i uznany przez lekarzy za najlepszy.
Pudełko I rb. 75 kop.
Do nabycia we wszystkich lepszych aptekach i składach materiałów aptecznych.

Przedstawiciele dla Królestwa E. KOCH i W. BORMAN Warszawa, Chmielna 18.

NICI

Towary Norymberskie, Galanteryjne, Roboty ręczne poleca **TANIO Albert Sperlich**, Jerozolimska 19. długoletni współprac. Firmy A. Ludwig róg Brackiej 6706

Wytwórny Iluzjon „MASCOTTE”
Program pierwszorzędny
Muzyka koncertowa
BODUENA 4
we Wtorki i Soboty NOWOŚCI !!!

Najtańsze oświetlenie
klatek schodowych, kuchen, korytarzy i t. p.
Palnik gazowy „MIKRO” o sile światła 16 świec zużywa na godzinę gazu za 1/8 kop.
Cena 75 kop.
Skład główny: ERYWAŃSKA № 3, tel. 87-99.

Kaucyonowane Biuro Pośrednictwa Pracy
p. f. **„Marya Szymborska”**
Warszawa, Żórawia № 27. Tel. 26-54.

POLECA

Monterów, mechaników, szoferów, ogrodników, kucharzy, lokajów, chłopców kredensowych, karbowych, mleczarzy, pisarzy prowentowych, stangretów, fernali, pastuchów i etc., jak również służbę żeńską o świadectwach i rekomendacjach **tylko sprawdzonych.**

„Świat” № 14 z dnia 5 Kwietnia 1913 r.

STACYA DR. Ż. W.-WIED. POCZTA I TELEGRAF NA MIEJSCU. POŁĄCZENIE TELEFONICZNE Z WARSZAWĄ.
6608

Grodzisk

45 MINUT JAZDY KOLEJĄ OD WARSZAWY, 5 MINUT SZOSĄ OD STACYI.

ZAKŁAD LECZNICZY Cały rok otwarty.
Ładny park, kanalizacja, światło elektryczne, ogrzewanie centralne. Kuchnia własna i dietetyczna. Leźnia i kąpiele słoneczno-powietrzne. Nowa instalacja hydro-terapeutyczna. Kąpiele świetlne, 4-komorowe, sinusoidalne, gazowe z płynnego CO₂; natryski z gorącego powietrza. Masaż ręczny i wibracyjny. Mechanoterapia. Cena od 3 rb. 75 kop. do 6 rb. Prospekt i cenniki gratis i franco. Kierownik zakładu Dr. Bronisław Malcwski.

Piekarnia Nowa A. Ł. Nowy-Świat № 68
nabyła na wyłączną własność prawo wyrabiania specjalnego chleba i sucharków dla diabetyków podług przepisu prof. (chorych na cukrzyce) p. n. „KLEBON” F. X. Kleinpetera w Wiedniu. „KLEBON” sprzedaje się za pozwoleniem Urz. Lek. m. W. w sklepie głównym Piekarni Nowej, NOWY-ŚWIAT № 68 w specjalnym opakowaniu, opatrzonym marką fabryczną, oraz podpisem wynalazcy.

F. WORONIECKI Warszawa, CZYSTA № 2.
Wykwintne Precyzyjne ZEGARY i ZEGARKI.

Z. Dobrzańska i Ska Warszawa, Jasna 10.
Telefon 178-75.
polecają wykwintne papiery listowe w wielkim wyborze.

BAR
WALDSCHLUSCHEN
PIWO
POWSZECHNIE ZNANE
MONIUSZKI № 12.

Duży zapas win węgierskich od rubla 1.50 butelka.
Kuchnia wyborowa. Krupnik litewski na gorąco. Wieczorami koncert. Centrum miasta. Rendes vous dla przyjezdnych.

LES PARFUMERIES DE GABILLA
PARIS

Dernières Créations
L'AMBRE DE GABILLA
MINNE
XANTHO
VIOLETTE DE GABILLA

Le Rêve de Gabilla
Folle Passion - La Vierge Folle
La Rose de Gabilla - Le Bouquet de Gabilla
Tout le Printemps, etc.

25, B^{is} POISSONNIERE-PARIS
 DETAIL-GRANDS MAGASINS
 ET PARFUMEURS

ILLUSTRATION PHOTO

SKŁADY DO PRZECHOWANIA MEBLI
W. WĘGIEŁEK i S^{KA}
 NOWOGRODZKA ŻRÓG BRACKIEJ
 OPAKOWANIA. PRZEPROWADZKI
 TELEF. 14088

BAWEŁNY, JEDWABIE I WŁÓCZKI
DO SZYCIA, HAFTU, ROBÓT
DRUTOWYCH I SZYDEŁKOWYCH
POLECA STEFAN PORĘBSKI
== KRAKÓW, RYNEK L. 32 ==

POŁĄGA :: (GUBERNIA :: POŁĄGA.

Jedyne Polsko-Litewskie morskie kąpiele na wybrzeżu Bałtyku. — Sezon od 15 VI do 15 IX. Zimne i ciepłe morskie kąpiele. Las sosnowy. Hala gimnastyczna d-ra Skowrońskiego. Studnia artezyjska, wodociąg, kanalizacja. W zakładzie zdroj. hotel, restauracja, czytelnia, bilard. Wille, pensjonaty. Teatr, orkiestra, reuniony, koncerty, wycieczki. Kościół, poczta, telegraf, apteka. Lekarz zakł. D-r Krysiński z Warszawy. Dojazd przez Prusy do Memla (Kłajpeda). Z Cesarstwa i Królestwa dla osób nie posiadających zagranicznych paszportów przez Libawę lub Prekulny. Prospekty wysyła ZARZĄD.

PARFUM
ROSE D'ORSAY
 17, RUE DE LA PAIX, PARIS

Nowo otwarty **Magazyn Broni**
 POD FIRMA
R. Gliniecki i B. Wierzejski
 w Krakowie, ul. Szewska 2.
 poleca bogaty wybór broni wszelkich systemów, przyborów myśliwskich, sportowych, oraz własną pracownię i warsztaty reparacyjne.

Korale prawdziwe,
Torebki damskie,
parasole i pończochy
poleca Stefan Porębski
Kraków, Rynek L. 32

Bracia JABŁKOWSCY



TOWARZYSTWO
 AKCYJNE

□ □ □

WARSZAWA,
 BRACKA 23.

DOM TOWAROWO KONFEKCYJNY

NOWOŚCI
 WIOSENNE
 LETNIE
 NADESZŁY
 DO
 WSZYSTKICH
 DZIAŁÓW
 MAGAZYNU.
WYSYŁKA
 PRÓB
 KATALOGÓW
 KOSZTORYSÓW
 BEZPŁATNIE.